

WYBÓR DZIEŁ HENRYKA CONSCIENCE'Ń.

UBOGI SZLACHCIC.

WYBÓR DZIEŁ HENRYKA CONSCIENCE'A

TOM I

HENRYK CONSCIENCE

UBOGI SZLACHCIC

Z 4-MĄ ILUSTRACYAMI
I PORTRETEM AUTORA



HENRYK CONSCIENCE
(ur. 1812 r., um. 1883 r.)



POZNAŃ
NAKŁADEM Drukarni i Księgarni św. Wojciecha
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.

1914

Wyp. 02

20282

71447 / 1



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0258941

K-168/76 / 71447

p

I.

Pod koniec miesiąca lipca 1842 r. toczył się jedną z szerokich bitych dróg, prowadzących od granicy holenderskiej do Antwerpii otwarty pański pojazd.

Powóz pomimo iż z wielką starannością odczyszczany, zdradzał jednak ślady pewnego ubóstwa; wskutek długiego używania porozluźniały się poszczególne części jego, tak, że chwiał się na wszystkie strony i klekotał osiami w łożyskach. Skórzane pokrycie, na pół tylko podniesione polyskiwało tłuszczem, którym je na drogę wysmarowano, mimo to jednak widoczne były na skórze liczne szramy i dziury. Gałki przy drzwiczkach i inne okucia lśniły w słońcu, starannie wyświecone, lecz pozostałe w zagłębieniach ozdób ślady dawniejszego posrebrzenia świadczyły o minionem już zupełnie, lub przynajmniej częściowo bogactwie.

Koń zaprzęzony do powozu silny był i tęgi, po biegu ociężałym poznać jednak było można, że nie przy powozie, tylko przy pługu lub wozie ciężarowym zwykł był codziennie chadzać.

Ubogi szlachcic.

Na koźle powozu siedział chłopak siedm-nasto lub ośmnastoletni w liberji, ze złotą opaską na kapeluszu i z świecącymi guzikami przy surducie; kapelusz spadał jednak woźnicy aż na uszy, zaś surdut tak był obszerny, że chłopak wyglądał w nim jak w miechu. Najwidoczniej był ubiór ten własnością pana i służyć musiał już niejednemu forczpanowi.

W powozie widzimy mężczyznę lat około pięćdziesięciu. Postawa jego tak była pańską i pełną godności, że nikt nie byłby w nim domyślał się właściciela tego zniszczonego pojazdu.

Siedział z opuszczoną na piersi głową, widocznie głęboko w myślach zatopiony, aż nie usłyszał turkotu jakiej mijającej go powózki; wtedy prostował się natychmiast, twarz ubierał w swobodny wyraz i całej postaci nadawał dumny wygląd, zaledwie jednak zamienił z przejeżdżającym obok, przelotny ukłon, popadał znowu w ponurą zadumę.

Na pierwszy rzut oka zaraz czuło się do niego dziwny pociąg; z twarzy jego wychudzonej i licznymi już pokrytej zmarszczkami, z regularnych i szlachejnych rysów, spojrzenia głębokiego i szczerzego i z czoła wypukłego i pogodnego wnosić było można, że obdarzonym być musiał wielkimi skarbami rozumu i uczucia.

Z pewnością pan ów z niejednym nieszczęściem spotkać się już musiał w życiu; mówiły o tem nietylko wyraz twarzy, ale śnieżno białe

włosy, zdobiące jego szlachetną głowę, podczas gdy czarne jak węgiel oczy pod naciskiem kotłujących się w głowie myśli, zapalały się chwilami szczególniejszym blaskiem.

Ubiór jego odpowiadał zupełnie całej postaci; nosił na sobie cechę bogatej, można rzec wytwornej nawet skromności, co jest zwykle oznaką wielkiego doświadczenia światowego i wyrobionego smaku. Koszula jego była z najcieńszego płótna, bieluteńka, surdut z doskonałego sukna, a kapelusz gładki był i lśniący.

Czasami, zwłaszcza, gdy mijał go inny powóz, wyjmował z kieszeni piękną złotą tabakierkę i brał szczyptę tabaki takim eleganckim i pełnym godności ruchem, że nawet z tego, niby nic nie znaczącego ruchu ręki poznać było można, że zwykł był obracać się tylko w najwyższych kołach towarzyskich.

Wprawdzie bystrzejsze oko przy dokładniejszym przyjrzeniu się spostrzedz łatwo mogło, że surdut wytarty już był zupełnie od długoletniego noszenia, że na kapeluszu pozostałe jeszcze włoski jak najstaranniej naczესane były na wytarte brzegi i że rękawiczki w wielu miejscach pocerowane już były. Gdyby spojrzeć można było na podłogę powozu, widzianoby, że trzewik na lewej nodze był pęknięty, a widoczna przez dziurę szara pończocha atramentem czarnym pomalowana; wszystkie te jednak dowody ubóstwa tak umiejętnie były pokryte, zniszczone rzeczy z takim pozorem

bogactwa i z taką dumą noszone, że większa część ludzi niezawodnie twierdziła, że pan ten z dziwnego jedynie upodobania ubierał się tak a nie inaczej.

Po dwugodzinnej, dość szybkiej jeździe zatrzymał woźnica konia przed gospodą przy grobli miasta Antwerpii. Gospodyni zajazdu przywitała przybyłego pana z oznakami wielkiego uszanowania, podczas gdy parobek stajenny pomagał woźnicy wyprześć konia. Przyjezdny częstym tu musiał być gościem, gdyż wszyscy znali go po nazwisku.

— Piękna dziś pogoda, nieprawda, panie Vlierbecke? O deszczu znowu ani mowy, a przydałby się pewnie i w pańskiej okolicy? Czy mamy dać koniowi naszego siana, czy też przywiózł woźnica swoje ze wsi? Czy życzy pan sobie czegokolwiek, panie Vlierbecke?

Zasypywany przez wygadaną gospodynią coraz to nowemi pytaniami, wysiadł pan Vlierbecke z powozu, przemówił do niej kilka słów, pochwalił zdrowy jej wygląd, zapytał o każde z jej dzieci z osobna i oświadczył wreszcie, że musi natychmiast udać się do miasta. Następnie uściśnął jej rękę z pańską uprzejmością, nie ubliżającą jego dumie, wydał woźnicy swemu kilka poleceń i po grzecznym ukłonie poszedł ku miastu.

Przed wnijsciem do bramy fortecznej zatrzymał się na chwilę, otrzepał ubiór z kurzu, przygładził chustką kapelusz i ruszył wreszcie dalej.

W środku miasta mógł się narazić na spotkanie znajomych; ponieważ możliwem było, że zwracać na niego będą uwagę, podniósł głowę i nadał twarzy swej wyraz wielkiego zadowolenia tak, że każdy mógł uważać go za człowieka najzupełniej szczęśliwego, gdy tymczasem duszę jego dręczył ból i szarpała obawa. Wiedział, że narazić się musi koniecznie na upokorzenie tak straszne, że na samą myśl już o tem krwawiło mu się serce. Żył jednak na świecie istota, którą on kochał więcej niż życie własne, więcej nawet niż honor. Dla niej poświęcał już nieraz dumę swoją, dla niej cierpiał nieraz jak prawdziwy męczennik. Tak potężnie zawładnęło nim uczucie miłości, że wszelki trud i upokorzenie, mimo bólu szalonego, jakie sprawiały, znosił ze stoicką odwagą.

Im dalej jednak zagłębiał się w ulice miasta, im więcej zbliżał się do domu, w którym oczekiwała go przewidywana przykrość, tem więcej czuł się wzruszonym i tem szybciej krążyła mu krew w żyłach.

Wreszcie stanął przed jednemi drzwiami, i mimo nadludzkiej prawie władzy nad sobą, nie mógł powstrzymać drzenia ręki, gdy sięgał nią do dzwonka.

Na widok służącego, otwierającego mu drzwi, był już znowu zupełnie panem siebie.

— Czy pan mecenas jest w domu? — zapytał.

Służący dał twierdzącą odpowiedź, zaprowadził pana Vlierbecke do saloniku i poszedł go panu swemu oznajmić.

Gość, pozostawszy sam w pokoju, usiadł w krześle, przełożył prawą nogę na lewą, i przekonawszy się, że w tej pozycji nieszczęsna dziura w trzewiku mniej będzie widoczną, wyjął złotą tabakierkę.

Po kilku minutach wszedł notaryusz z urzędową powagą, chcąc przybyłego z wyszukaną przywitać uprzejmością; gdy jednak poznał gościa, stał się nagle powściągliwym, przewidując niemiłe pytania, których wolałby uniknąć. Wbrew zwykłej gadatliwości, po zamienieniu kilku obojętnych słów z przybyłym, usiadł milcząc naprzeciwko, i czekał aż pan Vlierbecke sam rozmowę rozpocznie.

Gość uczuł się urażonym podobnem zachowaniem się gospodarza domu, zbladł i zimny dreszcz przeszedł mu po całym ciele. Po chwili jednak zebrał cały zapas odwagi i przemówił:

— Przepraszam pana bardzo, panie mecenasie, ale, przynaglony ostateczną biedą, przychodzę raz jeszcze zakolać do dobrego i szlachetnego serca pańskiego i poprosić go o małą przysługę.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał notaryusz z obawą w głosie.

— Proszę pana, o łaskawe wystaranie mi się jeszcze o sumę tysiąca franków, albo też i mniej cośkolwiek na hipotekę dóbr moich. Oprócz

tego mam jeszcze do pana specjalnie prośbę, abys mi zechciał pożyczyć teraz zaraz kilkaset franków z własnej kieszeni. Nie odmówisz mi chyba tej drobnostki, panie mecenasie, i nie zostawisz mnie w największym kłopotcie!

— Tysiąc franków na hipotekę, — mruknął adwokat, — ale któż je panu ma dać? Wszyscy wiedzą, że majątność pańska jest już ponad rzeczywistą wartość obciążona długami.

— To nie może być, panie mecenasie! — zawołał pan Vlierbecke w najwyższem przerażeniu.

— Zapewniam pana, że tak jest jednak. Kazałem zrobić na koszt wierzycieli pańskich ocenę jak najkorzystniejszą całego majątku, a wynik jej był taki, że wierzyciele, jedynie w razie jak najkorzystniejszej sprzedaży, dojszby mogli do swych pieniędzy. Popęłnił pan niedorzeczność nie do darowania. Gdybym ja był na miejscu pańskiem, nie poświęcałbym majątku własnego i żony na ocalenie niewdzięcznika i, można powiedzieć, oszusta, czyby on był moim bratem lub nie.

Pan Vlierbecke dotknięty boleśnie tem wspomnieniem, opuścił głowę na piersi i milcząc zniósł to surowe oskarżenie ukochanego brata swego. Palce jego zacisnęły się tylko kurczowo około tabakierki, a notaryusz ciągnął dalej:

— Przez ten nierozważny czyn pograżyłeś pan w ubóstwie siebie i dziecko swoje, dłużej się to już ukryć nie da; przez dziesięć lat zdo-

łałeś pan kosztem, Bóg jedynie wie, jakich cierpień, ukrywać tajemnicę zupełnego bankructwa, teraz jednak nadeszła już chwila, gdy pan nieodwrotnie będzie musiał majątność swą sprzedać.

Szlachcic spojrział na notaryusza wzrokiem, pełnym obawy i niedowierzania.

— Niema innej rady — ciągnął dalej notaryusz. Pan Hogeboen umarł podczas podróży do Niemiec. Spadkobiercy jego odnaleźli obligacyę pańską na cztery tysiące franków i donieśli mi, że dłużej prolongować jej nie mogą. Pan Hogeboen był pańskim przyjacielem, to prawda, ale spadkobiercom jego jesteś pan zupełnie obcym. Dziesięć lat zwłóczył pan już z umorzeniem tego długu, zapłacił pan dwa tysiące franków procentów, dla swej własnej więc korzyści musi pan wreszcie sprawę tę zakończyć. Ma pan jeszcze, panie Vlierbecke cztery miesiące czasu, gdyż tak długo obligacya pańska stać może nienaruszona.

— Cztery miesiące jeszcze — jęknął niešťczęśliwy szlachcic głucho — a potem co, wielki Boże?

— Potem zostanie majątność pańska sprzedana drogą publicznej licytacji. Pojmuje, że wiadomość ta bolesną dla pana być może, ale ponieważ innej drogi wyjścia z tego zaczarowanego koła niema, pozostaje panu tylko odważne zniesienie tej smutnej konieczności. Mógłbym ogłosić sprzedaż własności pańskiej, jako spowodowaną

wyprowadzką, uniknąłby pan tym sposobem wstydu przymusowej sprzedaży.

Pan Vlierbecke siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, zdruzgotany zupełnie okrutnemi słowami notaryusza. Gdy tenże zaproponował mu dobrowolną sprzedaż dóbr, odezwał się z bolesnym spokojem:

— Rada pańska, panie notaryuszu, jest dobrą i szlachetną, pójść jednak za nią nie mogę. Wie pan przecież, że wszelkie ofiary, całe smutne życie moje i nieustanne obawy znosiłem tylko w celu zabezpieczenia losu jedynego mego dziecka; wszelkie czyny moje opierały się na podstawie świętej i szlachetnej. Teraz wreszcie zdawaćby się mogło, że dziesięcioletnie błagania moje, tak gorąco do Boga zanoszone, wysłuchane być mogą; w sercach córki mojej i pewnego bogatego młodzieńca, którego dla jego dobroci i szlachetności serca; szanować trzeba, zrodziła się czysta wzajemna miłość, krewni jego także są nam przychylni. Tylko cztery miesiące czasu! Czyż mam przez sprzedaż własności mojej teraz zniweczyć wszystkie moje nadzieje, przyprowadzić siebie wraz z ukochanem dzieckiem do kija żebraczego, i to teraz właśnie, gdym myślał, że dobiegł wreszcie kresu mych cierpień?

— O ile mi się zdaje, masz więc pan, panie Vlierbecke zamiar oszukania tych ludzi! Pomyśl pan, że możesz tym sposobem zciągnąć

nać na głowę córki twej jeszcze większe nie-
szczęście!

Na wyraz — oszukać — zadrżał nieszczęśli-
wy ojciec, dreszcz obrzydzenia wstrząsnął nim
i rumieniec wstydu pokrył mu piękne czoło.

— Oszukać! — westchnął z gorzkim uśmie-
chem, — o nie! Nie chciałbym tylko w za-
rodku zabijać szczęścia miłości, wypływającego
z zobopólnego pociągu dwóch serc niewinnych,
przez odkrycie mej nędzy. Nie cofnę się jednak
i przed tem w chwili, gdy jeden z nas będzie
musiał wyrzec stanowcze słowo. Gdy nadzieje
moje rozpadną się w gruzy, usłucham rady pańskiej,
sprzedam majątek, opuszczę ojczyznę i postaram
się gdzieindziej o chleb dla siebie i córki mojej.

Milczał chwilę, potem ciągnął dalej, jakby
z własnymi myślami rozmawiając:

— Wszakże na krzyż Zbawiciela przysięgłem
umierającej żonie, że dziecko nasze biedy nie
zazna, że życie jego popłynie swobodnie i szczęś-
liwie. Mimo dziesięciu lat cierpień i upokorzeń
wszelakich nie zdołałem przysięgi tej wypełnić.
Wreszcie teraz złoty promyk nadziei błyska na
szarem niebie naszej przeszłości. . . .

Drżąc uchwycił rękę notariusza i patrzył mu
w oczy prawie nieprzytomnie.

— O przyjacielu, zawołał błagalnym głosem,
udziel mi pomocy w tej stanowczej chwili, nie
dreńz mnie już dłużej i spełnij moją usilną prośbę!
Póki tchu w piersiach mi stanie, błogostawić

będę imię mego dobroczyńcy, i zbawcy mojego
dziecka.

Notariusz cofnął rękę i odpowiedział z za-
kłopotaniem:

— Ależ wytłumacz mi pan, proszę, jaki zwią-
zek może mieć to wszystko ze sumą, którą chcesz
pan pożyczyć.

Pan Vlierbecke sięgnął ręką do kieszeni i od-
powiedział z goryczą w głosie:

— Śmieszne to, wszak prawda, gdy człowiek
tak nisko upadnie, że jego wola lub niewola
zależną się staje od sprawy, z której ktoś inny
wyśmiałyby się może. Jutro ma przyjechać do
nas na obiad ów młodzieniec ze swym wujem,
który właściwie sam się do nas wprosił; nie
posiadamy w domu nic, czemby można poczę-
stować takich gości; córka moja potrzebuje też
różnych drobnostek do stroju, gdyż będziemy ich
musieli przecież rewizytować. Nie chciałbym
wobec nich zdradzać naszej biedy, choć wiem,
że ciężkich trzeba będzie ofiar dla zatuszowania
właściwego stanu rzeczy.

Po tych słowach wyjął pan Vlierbecke rękę
z kieszeni i pokazał na dłoni notariuszowi mniej
więcej dwa franki w drobnej monecie.

— Patrz pan, — rzekł boleśnie się uśmie-
chając, — oto wszystko, co posiadam jeszcze.
Jutro mam ugościć w moim domu bogatych
ludzi, a w razie, gdyby ubóstwo moje przed-
wześnie wyjść miało na jaw, zniknęłaby wszelka

dla mego dziecka nadzieja! Na miłość Boską, zaklinam pana, panie notariuszu, nie odmawiaj mi pan swej wspaniałomyślnej pomocy!

— Tysiąc franków? — mruzczał notariusz — nie mogę przecież oszukiwać mych własnych klientów... Jakąż pewnoś daćby im można? Nie posiadasz pan już nic, panie Vlierbecke, coby nie było przeciążone długami.

— Tysiąc franków albo pięćset, albo chociażby tylko dwieście, zawołał szlachcic. — Pożycz mi pan chociaż cośkolwiek, abym się mógł pozbyć obecnego kłopotu.

— Nie mam chwilowo pieniędzy do pożyczania — była sucha odpowiedź prawnika — może dopiero w przeciągu dwóch tygodni, ale i tego nie mogę powiedzieć na pewno.

— Niechże mi pan więc z przyjaźni pożyczysz z własnej kieszeni, — błagał szlachcic.

— Niema widoków, aby mi pan kiedykolwiek pożyczkę mógł zwrócić — odpowiedział notariusz zgryźliwie... — żadasz więc pan... jałmużny!

Szlachcic zadrzał i zbladł, czoło pokryło mu się grubemi zmarszczkami, z oczu strzeliły błyskawice oburzenia..., zapanował jednak całą siłą woli nad gwałtownem uniesieniem i wyjąkał spuszcżając wzrok ku ziemi: — Jałmużna! Niech spełnię więc i tę jeszcze kroplę goryczy! Boże, Ty widzisz, że to przecież dla dziecka mego jedynego!

Notariusz wydobył z szuflady kilka pięciofrankówek i podał je szlachcicowi. Czy jednakże upokorzenia z powodu odebrania rzeczywistej jałmużny duma jego znieść już nie mogła, czy też suma zdawała mu się zbyt małą, dość, że popatrzył na pieniądze przez chwilę sztywnym wzrokiem, potem zakrywszy oczy ręką, z jękiem upadł na krzesło.

Właśnie wszedł służący adwokata z oznajmieniem o nowych odwiedzinach. W chwili, gdy drzwi znowu się za nim zamknęły, porwał się pan Vlierbecke z siedzenia i otarł z łez oczy. Notariusz wskazał na pieniądze, leżące na narożniku stołu, ale szlachcic ze wstrętem się odwrócił.

— Panie mecenasie — wyrzekł pospiesznie, — o jedną łaskę chciałem jeszcze pana prosić!

— O jakąż to?

— W imię dziecka mego, proszę pana o zachowanie dzisiejszej naszej rozmowy w tajemnicy.

— Ależ naturalnie, możesz pan, panie Vlierbecke, zupełnie na mej dyskrecyi polegać. Nie zabierzesz pan tego małego datku?

— Dziękuję! dziękuję! — zawołał szlachcic, odtrącając z odrazą wyciągniętą ku niemu rękę prawnika i drżąc, jak w paroksyźmie febry, wybiegł z domu.

Ogłuszony otrzymanym ciosem, na wpół żywy ze wstydu i nie mogąc myśli zebrać, biegał niešťczęśliwy szlachcic ze spuszcżoną głową niejakiś

czas po ulicach miasta, nie zdając sobie nawet sprawy, gdzie się znajduje. Wreszcie poczucie nędzy zbudziło go z gorączkowego rozmyślenia; zwrócił kroki swe do bramy Borgerhout i wyszedł poza wały, gdzie wreszcie znalazł się sam bez świadków. Tutaj stanął, staczając gwałtowną walkę z samym sobą; usta poruszały się bez głosu, a po twarzy przebiegały kolejno ból, nadzieja, rozpacz i uczucie wstydu. Wyjął z kieszeni tabakierkę i z głębokim smutkiem wpatrzył się w wryty na wieczku jej herb jego rodzienny. Pogrążony na chwilę w ponurych myślach, otrząsnął się przemocą z przygnębienia i starając się nożykiem zniszczyć tarcz herbową na tabakierce, mówił cichym drżącym ze wzruszenia głosem:

— Ty, pamiętko po mojej drogi matce, która przez tyle lat pomagałaś mi ukrywać biedę moją, ty tarczo, którą zasłaniać się mogłem, gdy groziło mi niebezpieczeństwo zdradzenia smutnego mego położenia, ty, spuścizno po przodkach moich, ciebie muszę dzisiaj shańbić własnymi rękoma, z tobą się dzisiaj pożegnać muszę! Oby pomoc, której nam dzisiaj po raz ostatni masz udzielić, zachować nas zdołała przed większym jeszcze upokorzeniem!

Łzy trysnęły z oczu nieszczęśliwemu szlachcicowi, głos załamał mu się w łkaniu, nie poprzestał jednak swej smutnej pracy i tak długo skrobał nożykiem, aż herb zniknął zupełnie z wieka tabakierki.

Wtedy dopiero zwrócił szybko do miasta i przebiegał szybko wiele ciasnych małych uliczek, oglądając wywieszone nade drzwiami domów napisy.

Po całogodzinnem blizko szukaniu, znalazł wreszcie to, czego szukał, w ciasnym zaułku dzielnicy św. Andrzeja. Oczy jego zatrzymały się na małym napisie, zawierającym tylko dwa wyrazy: Zaprzysiężony zastawnik. Przeszedł obok drzwi aż do końca ulicy, aby nie zwracać na siebie uwagi, potem powrócił znowu, to przyspieszał, to zwalniał kroku, stósownie do tego, czy spotkał przechodniów lub nie, wreszcie, upatrzwszy stósowną chwilę, przesunął się chyłkiem przy murze aż do domu, ponad którego drzwiami spostrzegł ów napis.

Po niedługiej chwili wyszedł i zniknął pospiesznie po za narożnikiem w innej ulicy. Na twarzy jego malowało się pewne zadowolenie z pomyślnego załatwienia sprawy, rumieniec jednak na czole wskazywał, że żadaną pomoc osiągnął znowu kosztem nowego bolesnego upokorzenia.

Niebawem doszedł do środka miasta, wszedł do pewnego składu artykułów spożywczych, kazał zapakować do koszyka nadziewane kapłony, pasztet z dziczyzny, marynowane owoce i kilka innych jeszcze wyborowych łakoci, zapłacił i zapowiedział, że przyśle woźnicę swego po kosz ze sprawunkami. — Następnie kupił jeszcze u zło-

tnika dwie srebrne łyżki i parę złotych kolczyków i pospieszył z powrotem do swego zajazdu.

II.

Na wielu naszych wrzosowiskach prowadzi człowiek już od dłuższego czasu zwycięską walkę z nieurodzajną dotąd ziemią, aby zbudzić ją z wiekowego snu. Wzruszył już zeszywniałe jej wnętrzności, zrosił łono jej potem swoim, sztukę i naukę wezwał na pomoc, błota i bagna osuszył, pagórki poznosił, kanały pobudował, użyźniając tym sposobem ziemię, która od tysiąca lat spoczywała martwa.

Szlachetna zaiste walka człowieka z żywiołem! Cóż to za tryumf niesłychany będzie kiedyś, gdy te nieurodzajne kępy zamienią się w bogate kwitnące ogrody! Potomkowie nasi wierzyć nie będą chcieli, że tam, gdzie przed oczyma ich rozciągać się będą łany kołyszących się złotych zbóż lub kobierce zielone traw, dawnymi czasy gruby, błyszczący był tylko piasek.

Na północ od Antwerpii ku holenderskiej granicy mało jeszcze napotkać można śladów kultury, gdzieniegdzie tylko wzdłuż drogi znaczą się kawały uprawnej ziemi; dalej w sercu kraju wszystko jeszcze puste i nieurodzajne. Tam rozciągają się niezmiarzone równiny, pokryte suchym wrzosem, tam znajdują się przestrzenie, gdzie niebieskawa mgła zamyka widnokrąg, dowód

oczywisty, że pustynia rozciąga się jeszcze dalej, jak oko ludzkie sięgnąć może.

Tu i owdzie szumi strumień, którego brzegi zielenią porośłe i krzakami i wierzbami otoczone, a wzdłuż tej srebrzystej wstęgi szemrzącego strumienia poroziadały się folwarki, pałacyki panów, lub nawet całe zabudowane wsie; najwidoczniej więc, że tak ludzie jak i ziemia bez wody obejść się nie mogą.

W jednej z tych okolic znajdował się w znacznym oddaleniu od miasta dość wielki pański majątek. Wysokie drzewa tak majestatycznie sterczały ku niebu i tak obszerny rzucały naokół cień, że odrazu domyśleć się było można, że człowiek od setek lat osiedlić się tutaj musiał. Rów, otaczający zabudowania, kamienny most przed bramą świadczyły, że zamożnymi być musieli właściciele ludźmi.

Folwarczne budynki, t. j. domy mieszkalne dla czeladzi, stodoły i stajnie zajmowały całą przednią część tej majątności i nie pozwalały przechodniom widzieć co dzieć się mogło poza gęstymi krzakami z drugiej strony rowu.

I rzeczywiście było to tajemnicą nawet dla samego dzierżawcy folwarku. Za mieszkaniem jego i podwórzem znajdowała się nieprzejrzana gąszcz drzew i krzewów, które służyły jako zasłona, zakrywająca tajnie tej pańskiej siedziby przed ciekawym wzrokiem niepowołanych. Nie było dozwolonem ani dzierżawcy samemu, ani

żteż adnemu z domowników przekroczyć samowolnie tej samorodnej granicy.

W głębi pomiędzy najwyższymi drzewami stał obszerny dwór, przez wieśniaków zamkiem zwany; w nim mieszkali szlachcic z córką, jak pustelnicy, nie mając do usługi ani parobka, ani dziewczek i jak najstaranniej unikając wszelkiego zetknięcia się z towarzystwem. Sądzono ogólnie, że szlachcic ów, który dość rozległe posiadał włości, z niepojętego sknerstwa i chciwości tak zupełnie odsunął się od ludzi.

Od dzierżawcy żadnych objaśnień osiągnąć nie było można, unikał wszelkich na tym punkcie rozmów, umiając uszanować tajemnicze postępowanie swego państwa. W dobrach tych powodziło mu się bardzo dobrze, ziemia była żyzna, a czynsz dzierżawy nie zbyt wysoki. Wdzięcznym też był panu swemu i chętnie pożyczał mu konia, gdy w niedzielę z córką swoją miał chęć przejechać się do kościoła na nabożeństwo, a nawet syn jego w ważniejszych wypadkach stawał państwu chętnie jako wóznica do usług.

Była właśnie połowa lipca, dzień miał się już ku schyłkowi; słońce, przebiegłszy już większą część swej całodziennej drogi, chyliło się ku zachodowi; promienie jego, choć już nie tak palące jak w porze południowej, rzucały jeszcze na ziemię potoki żarzącego światła. Także i w majątku, o którym tutaj mowa, igra słońce swawolnie wśród liści drzew i krzewów, podczas gdy wierz-

chołki ich delikatniejszemi już oblane są barwami; zieleń od strony wschodniej staje się ciemniejszą, wewnątrz zaś zagajenia więcej jeszcze nabiera ponurej tajemniczości. Olbrzymie cienie drzew ścielą się po ziemi, a po męczącym skwarze dnia nastaje świeży chłód wieczorny i napełnia powietrze orzeźwiająca wonią. Mimo to jednak samotnie i smutno w otoczeniu dworu. Cisza grobowa jak całun rozpostarła się nad samotnem mieszkaniem, ptaszki milczą, najlżejszy wietrzyk listkami drzew nie zaszeleści, zdawałoby się mogło, że wszystko tu w śnie głębokim pograżone, choć oblane jeszcze jasnymi promieniami zachodzącego słońca. Gdy się zapuszcza wzrok w tę nieprzenikloną gąszcz zdziczałych drzew i krzewów parku, doznaje się mimowoli uczucia grozy, jak gdyby pod tym płaszczem tajemniczości coś straszniego kryć się musiało.

Nagle zaszumiały w pobliżu liście, ugięły się gałęzie krzewów, widocznie poruszone szybkim biegiem niewidzialnej jeszcze w tej chwili istoty. Gromady wystraszonych ptaszek zrywają się i z głośnym świergotem uciekają przed zbliżającym się możliwem niebezpieczeństwem. Czyżby nadchodziła jakaś ludzka istota, aby ukazaniem się swoim ożywić miejsce, gdzie zwykle panuje cisza i śmierć?

Rozchyła się wreszcie tajemnicza gąszcz krzaków! Młoda dziewczyna w białej sukience skacze pomiędzy leszczyną, z jedwabną siatką w ręku

uganiając się za motylem; z pochyloną naprzód wysmukłą postacią, z rękoma podniesionemi w górę, zaledwie czubkami palcy nóg dotykając ziemi, zdaje się unosić na skrzydłach, jak ten rój ptasząt, które zbliżeniem się swoim spłoszyła; włosy luźno spuszczone, gęstymi pięknymi kędziorami otaczają białą szyję dziewczęcia.

Wart rzeczywiście tej męczącej gonitwy motylek, unoszący się nad jej głową, raz niżej, to znowu wyżej, jak gdyby igrać chciał z tem pięknem dzieckiem, skrzydełka jego ząbkowato wykrojone, pokryte są plamkami błękitnemi, purpurowemi i złotemi.

Okrzyk radości wyrwał się z piersi dziewczęcia, o mały włos byłaby osiągnęła wreszcie cel swego pożądanja; zdołała jednak tylko dotknąć przelotnie siatką skrzydełek jego i uszkodziła je nieznacznie. Motyl jednak, mimo to, uniósł się znowu w górę i zniknął wkrótce z oczu swej prześladowczyni.

Dziewczyna stała przez chwilę, dysząc ze zmęczenia, potem powolnym krokiem udała się ścieżką ku domowi.

Jaka urocza ta dziewczyna z zaczarowanego zamku! Słońce opaliło wprawdzie cokolwiek delikatną płeć jej twarzy, nie ujmuje jej to jednak bynajmniej piękności, owszem dodaje nawet uroku, gdyż podnosi rumieńce i uwydatnia wyraz zdrowia duszy i ciała. Pod wysokiem czołem błyszczą z pod długich rzęs żywe ciemne oczy, usta, pięknie wykrojone, rozchylają się, aby ukazać dwa

rzędy ząbków, drobnych i równych jak perełki. Czarująca twarzyczka otoczona jest wieńcem rozwianych włosów, które kołyszą się jej na ramionach, ukazując chwilami białą łabędzią szyją; zarysy wysmukłej jej, jak młoda topółka, postaci, odznaczają się powabnie poprzez fałdy białej sukienki, ściśniętej w pasie niebieską wstążką.

Idąc, zatrzymała się przy grządce gwoźdźników.

Zdała spostrzegło już dziewczę, że ulubione kwiaty, spragnione wilgoci i zmęczone upałem dnia, pochylały się przy swych podpórkach; przybiegła, pełna litości i odezwała się do nich — Boże, biedne moje kwiateczki, zapomniałam dać wam wody, prawda, pić wam się chce bardzo? Stoicie ze spuszczonei główkami jak nawpół już nieżywe!

— Doprawdy, — dodała w zamyśleniu, — od wczoraj coś niepojętego ze mną się dzieje, dziwnie jestem roztagrniona, wesoła i szczęśliwa. Gustaw! — szepnęła wzrok spuszczaając w zawstydzeniu ku ziemi.

Stała tak chwilę, zapominając nietylko o kwiatkach, ale i o całym świecie, zatopiona w rozkosznych myślach o wyśnionym ideale, wreszcie usta poruszyły się znowu i odezwała się:

— Wszędzie i zawsze stoi mi obraz jego przed oczyma duszy, wszędzie prześladowuje mnie dźwięk jego głosu! Pozbyć się obrazu jego z wyobraźni nie mogę! Boże, cóż ze mną się dzieje! Serce bije mi jak młotem w piersi, krew

to gorącym strumieniem pędzi w żyłach, to znów leniwie krąży, lub też falami dzikimi uderza do zdyszanej piersi. Doznają dziwnej jakiejś obawy, mimo to jednak dusza śpiewa we mnie ze szczęścia i rozkoszy. — Jeszcze chwilę postać bez ruchu, potem podniosła głowę, odrzucając w tył, spadające na twarz czarne kędziory, jak gdyby ruchem tym chciała się pozbyć natrętnych, chociaż i miłych nad wyraz, myśli.

Z uśmiechem zwróciła się znowu do swych gwoździów: — Zaczekajcie jeszcze chwileczkę, ukochane kwiateczki, napoję was zaraz i uraczę. Podskoczyła w bok, ułamała kilka cienkich gałązek z pobliskiego krzaka, a osłoniwszy niemi rośliny, wzięła koneweczkę i pobiegła z nią przez trawnik do małej sadzawki, znajdującej się w ogrodzie i otoczonej płaczącymi wierzby.

Powierzchnia sadzawki dotąd gładka i spokojna, ożywiła się nagle, skoro tylko uroczy obraz młodej dziewczyny odbił się w jej zwierciadle; ukazały się natychmiast setki rybek, różnej wielkości i barwy, złotych, białych, czerwonych, czarnych, które wytykały główki z wody i otwierały pyszczki, jak gdyby z panią swą porozmawiać chciały.

Trzymając się jedną ręką pnia najbliższej wierzby, pochyliła się wdzięcznie i starała się nabrać w konewkę wody bez poruszenia rybek.

— Dajcie mi tymczasem spokój, — odezwała się do nich, rozpędzając je ostrożnie: — nie mam teraz czasu do zabawy, niedługo dostaniecie waszą wieczerzę.

Ale rybki nie myślały się rozproszyć, aż dopóki dziewczę nie wyjęło konewki z wody.

Panią, polawszy ulubione kwiatki, postawiła konewkę na zwykłym miejscu, poczem zamysłona udała się ku domowi, skąd niebawem powróciła z okruskami chleba dla rybek; załatwiwszy się i z tą czynnością, przechadzała się przez niejakiś czas po krętych ścieżkach ogrodu.

W wędrownie swej zbliżyła się do miejsca, gdzie rozłożył krzak katalpy jak parasol szeroki rozpościerał swe liście naokoło. W cieniu jego stał stół i dwa krzeselka, a znajdująca się na stole książka, pisarka i ręczna robótka, świadczyły, że dziewczyna niedawno jeszcze siedziała tu i pracowała.

Usiadła na jednym z krzeseł, brała do ręki to książkę, to znów robótkę, lecz żadną z nich zająć się jakoś dzisiaj nie umiała, wreszcie ręce opadły jej bezwładnie na kolana, i wsparłszy głowę na poręcz krzesła, popadła w sen głęboki.

Sny jej musiały być rozkoszne, gdyż na czystem jak zwierciadło obliczu dziewczęcia, igrał swobodny uśmiech, spała dość długo i mocno, i nie zdołały jej nawet obudzić szmer przy bramie ogrodowej i rżenie konia.

Stary powóz powrócił z miasta i zajechał na podwórze. Dzierżawca z żoną wybiegli powitać pana i wyprzążz konia.

Pan Vlierbecke wysiadł i przemówił do nich kilka uprzejmych słów lecz głosem tak przygnęcionym, że małżeństwo spojrzało na siebie ze zdziwieniem.

Pan Vlierbecke był przy największej nawet uprzejmości, zwykle poważnym i powściągliwym w mowie, dziś jednak taki ogromny smutek malował się na jego twarzy, jakiego nigdy u niego jeszcze nie widziano.

Koń stał już w stajni, młody woźnica zaś, zrzuciwszy ze siebie obszerną liberję, wyjął kilka paczek i koszyków z powozu i ułożył w domu na stole. Tymczasem zbliżył się pan Vlierbecke do dzierżawcy i odezwał się do niego.

— Mój kochany, będę potrzebował jutro pomocy twojej i żony twojej, przyjadą bowiem do nas w odwiedziny panowie Déneker, i pozostaną na obiedzie.

Dzierżawca, Bas Jans, z niedowierzaniem, jakby słuch go mylił, patrzył na swego pana.

— Czy to ten gruby, bogaty pan, który w niedzielę siada zwykle w ławce państwa podczas nabożeństwa?

— Ten sam, ale czemu cię to tak zadziwia?

— A ten drugi, czy to ten młody, wesoly pan Gustaw, który wczoraj rozmawiał na cmentarzu z panią naszą?

— Nie mylisz się, to ten sam.

— Panie Vlierbecke, co to za bogaci są ludzie! Posiadają znaczne obszary ziemi w okolicy, a w stajni mają tutaj dziesięć koni do wyjazdu, w mieście zaś drugie tyle; powóz ich jest suto srebrem zdobiony, że aż lśni.

— Wiem o tem i dla tego chciałbym ich przyjąć tak, jak im się to należy! Bądź z żoną i synem w pogotowiu, jutro rano rychło zawołam was; mam nadzieję bowiem, że mi tej przysługi nie odmówicie przecież.

— Ależ bez wątpienia, będziemy do usług jak zawsze, tak i dziś miło nam będzie przysłużyć się panu.

— Dziękuję wam za dobre serce, a więc stanęło na tem, jutro rano!

Pan Vlierbecke poszedł w podwórze, wydał woźnicy jeszcze kilka rozkazów, następnie udał się przez park do dworu.

Skoro tylko oddalił się o tyle, że go pozostali widzieć już nie mogli, rozpogodziła mu się twarz, siłą woli zmusił się do uśmiechu, i rozglądał się po ścieżkach ogrodu, szukając najwidoczniej kogoś bardzo sercu drogiego w tej cichej samotni. Nagle wzrok jego padł na śpiącą dziewczynę i zatrzymał się na niej zachwycony.

Jakże piękne było to jego jedyne, ukochane dziecko, zwłaszcza teraz, gdy właśnie słońce zachodzące ostatnimi promieniami pieściło jeszcze i różowiło jej cudną twarzyczkę, otoczoną roz-

wichrzonymi czarnymi kędziorkami, na które kwitnący krzak katalpy postrzącał płatki swych białych kwiateczków; śniła ciągle jeszcze, błogi uśmiech rozpromieniał delikatne jej rysy, usteczka poruszały się, szepcząc niewyraźne słowa, jak gdyby dusza nadmiaru uczucia pomieścić w sobie nie mogła.

Długą chwilę stał pan Vlierbecke nie poruszając się i rozkoszował się tem pięknem zjawiskiem.

Przejęty wdzięcznością ku Stwórcy, podniósł głowę i skierował wzrok ku niebu.

— Dzięki Ci, Boże Wszechmocny, że ona przynajmniej jest szczęśliwą. Lepiej, niech ja już cierpię jak męczennik, bylebyś dla niej był miłosiernym, o Boże! O łaskę, o opiekę Twoją, błagam Cię dla dziecka mego, niech te jego złote sny się ziszczą.

Po tej krótkiej, gojącej modlitwie usiadł pan Vlierbecke na drugim krzeselku, i oparłszy głowę na rękę, siedział czas jakiś nieporuszony z uśmiechem szczęścia i podziwu na swej szlachetnej, męskiej twarzy.

Dla niego był widok dziewiczej piękności jego córki tak rozkosznym, że na chwilę, przejęty dumą zapomniał o doznawanych codziennych cierpieniach, które tak starannie z jej drogi usuwał.

Nagle ciemniejszy rumieniec oblał czoło dziewczęcia, usta poruszyły się wyraźniej, a chociaż

nie wydały dźwięku, ojciec z samego poruszenia ich poznał znaczenie niewymówionych wyrazów.

Z radością w sercu, szepnął do siebie:

— Gustaw, więc o Gustawie śni! Marzenia jej niewinnego serca zgadzają się zatem z życzeniem mojem! Oby Bóg najłaskawszy pobłogosławić nam raczył! Tak, dziecko moje najdroższe, śnij słodko i ciesz się nadzieją i.... ale nie zaturawajmy sobie tej godziny smutną rzeczywistością! Śpij, śpij, i niechaj dusza twoja pełną będzie rozkoszy rodzącej się miłości!

Czas jeszcze siedział ojciec zachwycony i wpatrywał się w uroczy obrazek, wreszcie wstał, a stanawszy za plecami córki złożył na czole jej długi serdeczny pocałunek.

Otworzywszy oczy i spostrzegłszy ukochanego ojca, zarzuciła mu młoda dziewczyna ramiona na szyję, i wśród czułych pocałunków, zasypywała go gradem najróżniejszych pytań.

Szlachcic uwolnił się łagodnie z objęć córki i odezwał się żartobliwie:

— Dzisiaj nie będziesz mogła z pewnością powiedzieć mi jakie piękności wynalazłaś w »Lucyferze« Vondela. Jak widzę, nie miałaś czasu, Eleonoro, do robienia porównań pomiędzy tem arcydziełem naszej literatury a »Rajem utraconym« Milтона.

— Ach, ojcie — odpowiedziało zawstydzone dziewczę — doprawdy dziwnie jakoś jestem usposobiona, nawet czytać z uwagą nie mogę.

— Nie smuć się tem, dziecko moje, siadaj i słuchaj, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Wiesz, po co byłem dzisiaj w mieście? Otóż jutro będziemy mieli gości na obiedzie!

Eleonora z zajęciem spojrzała na ojca.

— Przyjedzie pan Deneker, wiesz ten bogaty kupiec, który siada w kościele zwykle w naszej ławce i którego własnością jest ten piękny zamek nad jeziorem.

— Tak, znam go, kłania mi się zawsze bardzo uprzejmie, i pomaga mi przy wysiadaniu z powozu. Ale...

— Z oczu twoich widzę, że ciekawą jesteś czy on sam przyjedzie — otoż nie, Eleonoro, przyjedzie jeszcze ktoś więcej.

— Gustaw — zawołało dziewczę mimowoli z radosnem zdziwieniem, a gorący rumieniec oblał jej twarzyczkę.

— Rzeczywiście Gustaw — odpowiedział pan Vlierbecke, nie obawiaj się jednak niczego i nie zamykaj serca przed rodzącem się uczuciem miłości. Nie ukrywaj uczucia swego przedemną, gdyż miłość moja do ciebie dawno się już tajemnicy twej domyśliła.

Dziewica spojrzała ojcu głęboko w oczy; nagle zarzuciła mu ręce około szyi, ukryła twarz na piersiach jego i przejęta uczuciem głębokiej wdzięczności, zawołała.

— Ojcze, drogi ojcze mój, dobroć twoja dla mnie jest niewyczerpana.

Szlachcic przyjmował przez pewien czas pieszczoty córki, nagle twarz mu pochmurniała i łza napłynęła do oka. Głosem drżącym od tajonego wzruszenia zapytał:

— Eleonoro, czy zawsze będziesz ojca swego tak kochała jak dzisiaj?

— Och, zawsze, zawsze! — zawołało dziewczę.

— Wiedz, Eleonoro, dziecko moje, że przywiązanie twoje jest moją jedyną nagrodą tu na ziemi, nie pozbawiaj mnie więc tej pociechy i osłody!

Smutny dźwięk jego głosu przestraszył młodą dziewczynę, przytuliwszy się więc silnie do jego męskiej piersi, zapłakała rzewnie.

Tak stali niejakiś czas oboje serdecznym spleceni uściskiem. Pierwszy ocknął się z zadumy ojciec i wstrząsnął głową, jak gdyby odpędzić chciał niepokojące go myśli. I rzeczywiście smutne jego poprzednie słowa podyktowało mu serce, ściśnione bolesnem uczuciem na myśl, że ktoś inny ma odtąd dzielić z nim miłość jego dziecka, że niedługo może zupełnie je od niego oderwie.

Nie zawahałby się przed żadną nawet najcięższą ofiarą, byleby tylko dziecku swemu okupić mógł tem szczęście, mimo to jednak myśl rozdziału z córką rozdzierała mu serce. Nazwał to niegodnem samolubstwem i przemocą starał się odpędzić dręczące go myśli.

— Pójdź, Eleonoro, uśmiechnij się i zapomnij o poprzednich mych słowach. Dusza

musi czasem ulżyć sobie i wynurzyć przed kimś rozpierając ją uczucie. Pójdźmy do domu, gdyż pomówić jeszcze musimy co do szczegółów jutrzejszego przyjęcia.

Dziewczyna posłuszna, ze łąz w oku, postępowala wolnym krokiem za ojcem.

Po kilku godzinach siedział pan Vlierbeke z głową na dłoni wspartą w wielkiej sali dworu, oświetlonej tylko niepewnym światelkiem małej lampki, podczas gdy kąty jej ciemne wiały jakąś przykrą pustką i martwością. Migotliwy płomyk lampy rzucał wydłużone smugi światła na mur i tworzył jakieś fantastyczne figury, podczas gdy stare portrety rodzinne, zdobiące ściany sali, surowym wzrokiem zdawały się wpatrywać w zadumanego szlachcica.

Od tego półcienia wyraźnie odcinało się tylko oblicze siedzącego nieruchomo przy stole, z okiem, zapatrzonem w nieprzeniknioną ciemną noc. Wreszcie wstał ostrożnie z krzesła, zbliżył się na palcach do końca sali i przyłożył ucho do zamkniętych drzwi.

— Śpi — szepnął — niech Bóg litościwy otoczy ją skrzydłami Swej opieki.

Następnie zbliżył się do stołu, wziął lampę i przy niepewnym jej świetle, otworzył wmurowaną w ścianie szafę. Przyklękawszy, wyjął z niej obrus i rozwinął kilka serwetek i z największą dokładnością szukał najmniejszej chociażby tylko plamki. Uśmiechnął się zadowolony, nie

znalazszy nic podejrzanego, potem wyjął z jednej z szuflad stołu koszyczek, miękki wełniany płateczek i kawałek kredy; trzonkiem noża rozbił ją na proszek i zabrał się do czyszczenia srebrnych noży i widelcy, znajdujących się w koszyczku, również i innych srebrnych drobiazków, przeznaczonych do ubrania stołu, a które swemi misternymi ozdóbkami miały utwierdzić gości w przekonaniu o zamożności ich właściciela.

Podczas tej mechanicznej pracy, myśl szlachcica zajęta była dawniejszemi wspomnieniami. Od czasu do czasu wyrwały mu się z ust wyrazy, a błogi uśmiech rozjaśniał smutną twarz. Przed oczyma duszy przesuwały mu się wszystkie postacie, które drogie mu były dawniej na ziemi i raz jeszcze uczył się na chwilę młodym z niezmaconą swobodą szlachetnego swego serca. Wyraźniejszym nieco głosem odezwał się:

— Nieszczęśliwy bracie mój! Jednemu tylko człowiekowi wiadomem jest to, co ja dla ciebie uczyniłem, i on mię dzisiaj nazwał niewdzięcznym i oszustem! Ty błędzisz teraz wśród lodowców Ameryki, schorowany i nieszczęśliwy. Za skromnem wynagrodzeniem przebiegasz pustynie, gdzie miesiącami całymi nie spotyka się ludzkiej twarzy. Ty, jako szlachcic, jesteś służalcem Anglika i gromadzisz dla niego futra, które mają służyć zbytkowi bogaczy. Z twojej przyczyny znosić muszę wszystkie cierpienia, Bóg jednak świadkiem, że przywiązanie moje do Ciebie, pozostało takie

samo szczerze, jak dawniej. Obyś odczuć mógł myśl moją o tobie i oby ci westchnienie moje wlało nieco otuchy do serca.

Chwilę jeszcze rozmyślał szlachetny człowiek nad smutnym losem brata swego, wreszcie oderwał myśl swoją od męczących obrazów i zwrócił uwagę na swą pracę. Poukładał srebro na stole i odezwał się półgłosem:

— Sześć widelcy i ośm łyżek! Będzie nas przy stole czworo, trzeba bacznie uważać, aby wszystko szło składnie i nie brakło niczego, pouczę żonę dzierżawcy — a ona przecież sprytna kobieta, wstydu mi nie robi.

Po tych słowach zamknął wszystko w szafie, wziął lampę, wyszedł ostrożnie ze sali i kamieniami schodami udał się do sklepionej piwnicy, gdzie otworzył małe drzwiczki w ścianie. Przy świetle lampy szukał pomiędzy próżnemi butelkami, aż nie znalazł tego, czego pragnął. Wyjął trzy butelki i odezwał się przerażony:

— Boże Święty, tylko trzy butelki, nic więcej, a podobno pan Deneker dumny z tego, że dużo wina znieść może. Cóż pocznę, nieszczęśliwy, gdy wypróżnią te trzy butelki i zażądamy więcej? Ja nie będę już pił wcale, Eleonora z pewnością też niewiele, przypadną więc dwie butelki na pana Denekera a jedna na jego siostrzeńca! Trudno, narzekania nic nie pomogą tutaj, wystarczyć musi! — Bez dalszego już słowa, pozbierał po kątach sklepu zawieszzone pajęczyny,

poowijał niemi uniejętnie butelki i posypał pyłem.

Powrócił następnie do sali, przylepił kawałek brakującej tapety na ścianie, starannie czyścił swe ubranie, wyszarżałe miejsca pomazawszy atramentem, poczem poszedł do jeszcze osobliwszego zajęcia.

Wziął grubą igłę i kawałek złotego wosku z szuflady a nawłókszy grubą nić, postawił sobie trzewik na kolanach i zaczął z ręcznie zaszywać otwartą dziurę.

Praca ta niezwykła wywołała w umyśle jego bolesne myśli; uśmiechnął się wzgardliwie, jak gdyby szydząc sam ze siebie. Na twarzy jego odbiła się gwałtowna wewnętrzna walka, rumieniec wstydu ustępował miejsca bladeści, wreszcie przeciął nić, rzucił trzewik na stół, zerwał się z krzesła i wyciągnawszy ręce do portretów rodzinnych, zdławionym przemówił głosem:

— Tak, patrzcie na mnie, wy, których krew szlachecka i w moich płynie żyłach! Ty pułkowniku, który, walcząc przy boku Egmonta pod St. Quentin, życie swoje na ołtarzu ojczyzny poświęciłeś; ty, dyplomato, który, jako posłannik, tak ważne oddałeś usługi wielkiemu cesarzowi Karolowi po bitwie pod Pavią; ty, dobroczyńco ludzkości, który tyle pobudowałeś kościołów; ty, prałacie, który jako kapłan i uczonec tak dzielnie broniłeś spraw kościoła Bożego! Spójrzcie na mnie nietylko z tych płócien ale i z łona Wszzech-

mocnego! Ten, który tutaj trzewiki swoje własną ręką sporządza i w cieniach nocy stara się zatuszować ślady swego ubóstwa, ten jest przecież synem waszym, latoroślą waszego starożytnego szczepu. Upokarza go wprawdzie badawcze spojrzenie ludzi, przed waszym wzrokiem jednak nie rumieni się za swe poniżenie, o wy, ojcowie moi! Wy mieczem i słowem zwalczaście nieprzyjaciół ojczyzny, ja walczę przeciwko szyderstwu i niezasłużonej hańbie, jednakże bez nadziei zwycięstwa; dusza moja umiera z bólu a świat ma dla mnie tylko szyderstwo i wzgardę! Mimo wszystko, nie skalałem jednak waszej tarczy herbowej, uczynki moje są w oczach Boskich godziwe i szlachetne. Do nieszczęścia mego przyprowadziła mnie szlachetność, miłosierdzie i przywiązanie braterskie. Tak, zwróćcie na mnie błyszczące swe źrenice i przekonajcie się, jak nisko upadłem. Śmiało jednak podnieść mogę głowę i spojrzeć wam oko w oko. Tu w waszej obecności czuję się tem, czem jestem w rzeczywistości, tutaj nie bryzgnie nikt szyderstwem na tego, który stał się męczennikiem dla tego tylko, że jako szlachcic, chrześcianin, brat i ojciec, spełnił swą powinność!

Pan Vlierbecke stracił zupełnie panowanie nad sobą, chodził szerokimi krokami wzdłuż portretowej ściany i w najwyższym wzburzeniu wyciągał ramiona, jakby wzywając pomocy przodków swoich. Jakiś majestat bólu bił od postaci

jego, oczy błyszcząły w ciemności fosforycznym blaskiem, oblicze jaśniało szlachetną dumą. Nagle stanął, uderzył się dłonią w czoło i rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Nieszczęsny, niemądry człowieku! dusza twoja chciałaby się pozbyć gniotącego ją ciężaru chciałaby zapomnieć o swem poniżeniu i marzy... — a złożywszy ręce na piersiach wznosił oczy ku niebu i dodał: — Tak, to marzenie i złuda, dzięki Ci jednak, Boże, że nie wyszło w duszy mej jeszcze źródło odwagi i cierpliwości! Dość już tego, trzeba wrócić do rzeczywistości, która jak szkielec szczyrzy do mnie zęby; nabrałem nowych sił i drwię sobie z tej straszliwej zmory poniżenia! A jutro, rzekł z niepokojem, jutro oko ludzkie znowu badawczo śledzić mnie będzie. Drzeć będę pod przenikliwym spojrzeniem tych, którzy odłonić będą usiłowali rąbek, kryjący tajemnicę moich uczynków; do dna spełnić będę musiał kielich upokorzenia! Tak, tak, trzeba mi dobrze nauczyć się swej roli, aby poprawnie odegrać komedję, aby przez pamięć na cześć nazwiska męczyć się na torturach jak potępieniec i konać sto razy w godzinie. Praca nocna już skończona, trzeba iść spać, i zapomnieć o tem czem się jest i czem jutro grozi.

Szyderstwo losu! W blizkiej przyszłości oczekuje cię, biedaku, widowisko ostatecznego poniżenia — własnymi oczyma patrzeć będziesz musiał — jak sprzedawać będą twą ojcowiznę, jak szy-

dzic będą z twego ubóstwa, gdy opuszczać będziesz ojczyznę z dzieckiem swoim, aby w dalekich stronach szukać kawałka nędznego chleba!... Spać!... Ależ ja drzę na samą myśl... obligacya moja... obligacya!...

Z wrastającą obawą powtarzał po kilkakroć ten wyraz, sprząając ze stołu porozrzucane przedmioty, następnie zniknął z lampą za drzwiami, prowadzącymi do sypialni.

III.

Na drugi dzień razem ze świtem zaczęto się pilnie krzątać w cichym zwykle dworze. Żona dzierżawcy wraz z dziewczką służebną szorowały schody i korytarze, dzierżawca sam czyścił stajnię, a syn jego gracował ścieżki ogrodu. Eleonora także już wcześniej była na nogach, doglądając, aby w pokojach wszystko było w należyтым porządku.

Panował w domu ruch i życie, jakiego nie pamiętano od lat dziesięciu. Wszyscy cieszyli się, uważając pracę dzisiejszą jako miłą rozrywkę wśród zwykłego jednostajnego życia.

Pan Vlierbecke, niespokojny i zdenerwowany, chodził od jednego do drugiego, kierując wszystkimi, zachęcając ich uprzejmymi słowami, bacznym jednak na to, aby nie okazać wewnętrznego niepokoju. Podchlebiał ambicyjnych i skromnych, uczciwych ludzi i żartobliwie starał

się wmówić w nich, że i dla nich zaszczyt będzie nie lada, jeśli goście z przyjęcia zadowoleni będą. Jeszcze nigdy rodzina dzierżawcy nie widziała pana swego w tak wesołym usposobieniu, a ponieważ kochali go i szanowali, cieszyli się też i przygotowywali wszystko jak na wielką uroczystość. Nie domyślali się ci poczcivcy, że ubogi szlachcic, nie mogąc zapłacić im pieniędzmi, zdwojoną uprzejmością chciał wynagrodzić im okazywaną życzliwość i pracę ich.

Po ukończeniu najpotrzebniejszego, gdy słońce już wyżej na niebo wypłynęło, zawołał pan Vlierbecke córkę, aby naradzić się z nią co do bliższych szczegółów przyjęcia.

Napalono w starych piecach, węgle żarzyły się na rusztach, a dym buchał kominem, wznosząc się wysoko ponad dachem.

Wypakowano koszyki, powymowano nadziewane kapłony, pasztety i inne zakupione wyborowe łakocie, poznoszono kosze z groszkiem i innymi jarzynami i kobiety zajęły się lupaniem i czyszczeniem owoców.

Nawet Eleonora czynny brała udział w tej pracy, gwarząc wesoło z żoną dzierżawcy i dziewczką. Dziewczyna ta, która dotychczas nigdy nie miała sposobności zbliżyć się do panienki ze dworu, patrzyła na jej delikatne rysy, wysmukłą postać i błyszczące oczy z niemym zachwytem, zwłaszcza gdy panienka nucić zaczęła znaną ludową piosenkę o sierotce, której matkę zielona kryje

mogła, a ojciec i brat na dnie spoczywają morza. Ją, małą dziewczynkę wzięto, do domu sierót, skąd, jak tylko może, przybiega na brzeg wody, wypłakać łzy tęsknoty za ukochanymi a straconymi na zawsze. Pewnego razu spotkał ją tam bogaty pan, a dowiedziawszy się o sierocem jej życiu, ulitował się, wziął do swego pałacu i w bogate ubrał szaty; odtąd sierota nigdy już płakać nie potrzebowała.

Obiedwie kobiety słuchały śpiewu szczerze wzruszone, mianowicie żona dzierżawcy, której przypomniały się lata dzieciństwa, gdy matka tą samą do snu kołysała ją piosenką.

Przy ostatniej zwrotce śpiewki stanął pan Vlierbecke we drzwiach, dając znak córce, aby sobie nie przerywała. Po skończonym śpiewie wezwał dzierżawczynią za sobą do sali jadalnej, gdzie stół już był nakryty, a przy nim stał młody wieśniak w liberyi z serwetką na ręce. Z nimi obojgiem rozpoczął teraz pan prawdziwą komedję, każąc każdemu powtarzać rolę swą po kilka razy, a naukę przeciągał tak długo, aż nie doprowadził do tego, że wszystka usługa szła bez najmniejszego zarzutu; chodziło mu głównie o szybką zmianę talerzy i łyżek, aby goście braku ich nie zauważyli.

Wreszcie nadeszła godzina obiadu. W kuchni wszystko już było przygotowane, każdy stał na swym posterunku. Eleonora, ubrana skromnie lecz elegancko, czekała w pokoju z biją-

cem sercem, ojciec zaś jej, nie chcąc, aby wyczytano z twarzy jego wewnętrzny niepokój, usiadł w cieniu katalpy z książką w rękę, udając, że czyta.

Okolo godziny drugiej, zajechał wspaniały pojazd, zaprzężony w piękne, angielskie rumaki, przed kamienne schody zamku.

Szlachcic powitał gości z wrodzoną uprzejmością i dystynkcyą i przemówił do młodzieńca kilka przelotnych słów, podczas gdy kupiec rozkazał woźnicy, aby przyjechał po niego o godzinie piątej, ponieważ tego samego dnia musi jeszcze być w mieście.

Pan Denecker był mężczyzną dobrej tuszy, ubierał się bogato ale z pewnem zaniedbaniem, co miało znaczyć, że nie dba zbyt o pozory. Rysy jego twarzy były dość pospolite, malowała się w nich przebiegłość, ale i wielka dobroć serca.

Szlachetniejszym wyglądem odznaczał się siostrzeniec jego, Gustaw, postawę miał piękną, wyraz twarzy energiczny; ułożenie jego było eleganckie i na pierwszy rzut oka poznać było można, że i wykształcenie jego było gruntowne.

Jasne włosy i niebieskie oczy mówiły o poetycznem usposobieniu młodzieńca, a spojrzenie pewne i kilka drobnych zmarszczek na czole zdradzały wiele uczucia i rozumu.

Z ujmującą grzecznością wprowadził pan Vlierbecke gości swych do dolnej sali, gdzie

oczekiwała ich Eleonora. Kupiec powitał ją uprzejmym uśmiechem, a zwracając się do ojca jej, zawołał ze szczerym zachwytem:

— Co za urocze zjawisko! Wcale niestudnie, panie Vlierbecke, że tak zazdrośnie chowasz przed okiem ludzkim tyle urody i wdzięku.

Gustaw zbliżył się do młodej dziewczyny i wyjąkał kilka niezrozumiałych słów powitania. Czoła obojga pokryły się ciemnym rumieńcem, oboje spuścili oczy ku ziemi, aż wreszcie Gustaw otrząsnął się z pierwszego wrażenia i wszczął z panią rozmowę.

Kupiec, spostrzegłszy zakłopotanie obojga, szepnął panu Vlierbecke na ucho:

— Patrz pan, co się dzieje! Siostrzeniec mój zmysły, zdaje się, traci, na widok tej piękności. Nie wiem, jak długo trwa już wzajemna skłonność tych dwojga młodych; jeśliby pan nie godził się na miłość ich, radziłbym panu powziąć zawczasu pewne środki ostrożności, gdyż trzeba panu wiedzieć, że siostrzeniec mój, mimo łagodnej powierzchowności, nie należy do tych, którzy daby się odstraszyć jakąkolwiek przeszkodą od raz powziętego zamiaru. Patrz pan, już chwilowe zakłopotanie minęło. już wpadli na ciekawy temat rozmowy.

Pana Vlierbecke wrzuciły słowa kupca, gdyż widział w nich możliwość spełnienia się najgorętszych swych pragnień, siłą się jednak na obojętność, odpowiedział:

— Żartujesz pan, panie Deneker, oboje są młodzi i przystojni, nic więc dziwnego, że mają do siebie upodobanie, nie obawiam się jednak niczego poważniejszego.

— Lecz teraz proszę panów do stołu, gdyż obiad już gotowy.

Gustaw podał nieśmiało ramię Eleonorze, które ona, drżąc i rumieniąc się, przyjęła; oboje byli zakłopotani, mimo to jakaś niebiańska radość biła im z oczu, a serce śpiewało pieśń radości i wesela.

Wuj zartobliwie groził palcem siostrzeńcowi jak gdyby chciał mu powiedzieć: — Już wiem, co się święci.

Młodzieniec, widząc to, zarumienił się jeszcze więcej, ucieszony widocznie, gdyż z zachowania się wuja mógł łatwo wnioskować, że wyborowi jego serca nie byłby przeciwnym.

Przy stole usiadł pan Vlierbecke naprzeciwko pana Denekera, vis-à-vis zaś Gustawa Eleonora.

Żona dzierżawcy wniosła na bufet potrawy, syn jej w liberyi usługiwał gościom. Wszystko odbywało się poprawnie, potrawy było doskonale przyrządzone, kupiec też, znany smakosz nie szczędził gospodarzowi słów pochwały; podziwiał dobry wybór i obfitość potraw, gdyż nie spodziewał się takiej uczyty, wiedząc z opowiadania, że pan Vlierbecke znanym był w całej okolicy jako skończony dziwak i sknera.

Rozmowa stała się ogólną, i Eleonora zachwycała obudwóch panów swemi bystremi odpowiedziami, tylko z Gustawem poradzić sobie nie mogła; wobec niego stawała się nieśmiałą i dawała mu odpowiedzi urywane i nic nie znaczące. To samo działo się i z młodzieńcem, tak, że z pozorów wnosić było można, jakoby ze swego towarzystwa wcale zadowoleni nie byli.

Pan Vlierbecke poruszał w rozmowie różne kwestye, które przyjemne być mogły gościom; z widocznym zainteresowaniem słuchał dowodzeń kupca, dając mu naumyślnie sposobność rozmawiania o sprawach, które jemu, jako kupcowi, najbliższe były. Gość wdzięcznym był szlachcicowi za tę uprzejmość i starał mu się równą odpłacać monetą.

Tak więc wszystko odbywało się jak najlepiej, każdy był zadowolony ze siebie i z drugich, pan Vlierbecke szczególnie cieszył się, że usługujący do stołu tak się beznagannie zachowywali i tak pospiesznie zmieniali talerze i łyżki, że nikt niedostatecznej ilości ich spostrzedz nie mógł.

Tylko jedna rzecz przerażała pana Vlierbecke, zauważył on, że pan Deneker wypróżniał podczas rozmowy jeden kieliszek po drugim, także i młodzieniec, z braku tematu do rozmowy, zachęcał Eleonorę ustawicznie do picia, wskutek czego już na początku obiadu mało co wina pozostało w pierwszej butelce.

Szlachcic ukradkiem spoglądał na zawartość butelki i drżał z obawy za każdym razem, gdy kupiec kieliszek do ust podnosił. Służący musiał przynieść już drugą. Aby nie podsycać pragnienia gościa, począł gospodarz zaniedbywać rozmowę, podpadło mu bowiem, że pan Deneker, zwłaszcza rozmawiając, lubił odwilżać gardło.

Ale omylił się w tem, gdyż pan Deneker, jak na przekorę sprowadził rozmowę właśnie na temat o tym szlachetnym napoju, wychwalał doskonałą markę, i nie mógł wyjść z podziwu nad wstrzemięźliwością szlachcica. Pił jeszcze więcej a wtórował mu wiernie, choć nie w tym samym stopniu, Gustaw.

Obawa pana Vlierbecke rosła za każdym wypróżnionym kieliszkiem, wnet bowiem i druga butelka okazała się próżną. Na domiar złego odezwał się kupiec:

— Wino jest wprawdzie stare i doskonałe, panie Vlierbecke, ale, pijąc, trzeba zmieniać gatunek, gdyż inaczej traci się właściwy smak. Podług tej próby wznosić mogę, że sklep pański jest bogato zaopatrzony; każ pan zatem przynieść butelkę Châteaux-Margeaux, a jeśli zostanie nam jeszcze potem dosyć czasu, zakończymy Hochheimerem; szampana nie pijam, gdyż uważam go za niestósowny napój dla prawdziwego znawcy.

Słyszając to szlachcic, struchlał z przerażenia; zakrył oczy ręką, namyślając się, jak wybrnąć teraz z tego kłopotliwego położenia.

Po chwili odezwał się z udanym spokojem:

— Z całą przyjemnością panie Deneker — a obróciwszy się do usługującego zawołał:

— Janie, butelkę Châteaux-Margeaux, uważaj na lewo w trzecim rzędzie!

Wieśniak wytrzeszczył na pana swego oczy, jak gdyby ten w chińskim do niego przemawiał języku, i zamruczał coś niewyraźnie.

Na to odezwał się pan Vlierbecke, powstając:

— Bardzo panów przepraszam, ale muszę zejść sam do sklepu, gdyż chłopak, niedawno do służby przyjęty, nie dałby sobie w sklepie rady.

Poszedł do kuchni, wziął ostatnią butelkę i zeszedł z nią do sklepu. Tutaj czując się bez świadków, odetchnął głęboko, jakby chcąc pozbyć się gniotącego piersi ciężaru i rzekł sam do siebie.

— Châteaux-Margeaux, Hochheimer, szampan! A w domu tylko już jedna jedyna butelka Bordeaux! Co ja pocznę, nieszczęśliwy? Ale niema teraz czasu do namysłu, niech będzie co Bóg da!

Przywoławszy uśmiech na twarz, powrócił do sali z butelką wina w ręce; Eleonora kazała już tymczasem zmienić kieliszki.

— Wino to jest dwudziestoletnie, myślę, że zyska uznanie panów; powiedział szlachcic, napełniając kieliszki i śledząc ukradkiem wrażenie na twarzy kupca.

Zaledwie pan Deneker zbliżył kieliszek do ust, cofnął go natychmiast, ze słowami:

— Zaszła tutaj pomyłka, jest to przecież to samo wino, cośmy przedtem pili!

Pan Vlierbecke spróbował również z niedowierzaniem i odezwał się z udanym zdziwieniem:

— Rzeczywiście, musiałem się omylić! ale ponieważ butelka już napoczęta, wypróżnimy ją do reszty, mamy przecież jeszcze dosyć czasu.

— Owszem możemy wypić — pod tym jednak warunkiem, że mi pan pić pomożesz, gdyż musimy się spieszyć!

Takim więc sposobem ubywało wina i w trzeciej butelce tak, że pozostało w niej już tylko kilka kieliszków! Szlachcic nie umiał już dłużej zapanować nad swą obawą, ócz oderwać nie mógł od nieszczęsnej butelki, a w uszach brzmiały mu ciągle nazwy: Châteaux-Margeaux i Hochheimer. Zimny pot wystąpił mu na czoło, twarz zbladła, mimo to jednak walczył jeszcze ciągle rozpaczliwie, jak żołnierz wobec groźnego niebezpieczeństwa. Pocierał czoło i twarz chustką, kręcił się na swem krzeselku niespokojnie, aż ujrzął, że pan Deneker resztę wina wylał z butelki do kieliszka. Wtedy dreszcz wstrząsnął ciałem nieszczęśliwego szlachcica, śmiertelna bladeść pokryła mu twarz i z westchnieniem opuścił głowę na piersi.

Czy było to tylko udane zemdlenie, czy też rzeczywisty atak osłabienia przyszedł wybawić

nieszczęśliwego z okropnego kłopotu? Wszyscy zerwali się przestraszeni z krzesel, Eleonora, przeżona przybiegła do ojca, on jednak po chwili starał się już uśmiechnąć i rzekł, powstając z wysiłkiem: — To nic! Za duszno mi tutaj, wyjdę troszkę na powietrze, to wnet będzie dobrze!

Zwrócił się ku drzwiom, wsparty na ramieniu córki, a za niemi postępowali pan Deneker z Gustawem z wszelkimi oznakami współczucia.

Chwilę tylko odpoczął szlachcic pod cieniem rozłożystego kasztana, a już rumieniec powrócił mu na pobladałą twarz; zapewniał zaniepokojonych, że czuje się już lepiej, chciał jeszcze tylko pozostać czas niejakiś na świeżem powietrzu, z obawy, aby w pokoju słabość go znowu nie opanowała. Po kilku minutach podniósł się i zaproponował przechadzkę. Goście zgodzili się chętnie na propozycję, zwłaszcza pan Deneker.

— Owszem, możemy się przejść, ale o piątej godzinie zajedzie nasz powóz, gdyż muszę być z siostrzeńcem dzisiaj jeszcze koniecznie w mieście; po przechadzce zaś wypijemy jeszcze kieliszek jakiego dobrego wina na trwałość naszej przyjaźni.

Podał, patrząc z uśmiechem na Gustawa, ramię Eleonorze, która je też uprzejmie przyjęła, czem uszczęśliwiony jej wielbiciel budował już najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Rozmawiano o gospodarstwie, o uprawie wrzosowisk,

o polowaniu i o wielu innych rzeczach. Eleonora, prowadzona pod rękę przez pana Denekera, pozbyła się wnet krępującej ją przy obiedzie nieśmiałości i wrodzoną wesołością i dowcipem zachwyciła starego kupca tak dalece, że przyznawał sobie w duchu, iż siostrzeńiec dobry gust udowodnił, wybierając to właśnie dziewczę na przedmiot upodobania. Później, gdy szlachcic zajął gościa oglądaniem gospodarstwa, młodzi oddalili się znacznie od nich i Eleonora pokazywała młodzieńcowi swoje kwiaty, rybki złote i wszystko co miłego posiadała w swej samotni Gustaw nie rozumiał prawie jej słów, gdyż wsłuchał się w głos jej jak w niebiańską muzykę, która go rozmarzała i czarowała.

Pan Vlierbecke starał się wszelkimi sposobami rozerwać gościa i odwieść go od zamiaru powrotu do pokoju. Przypomniawszy sobie wszystko co kiedykolwiek słyszał był ciekawego, opowiadał dykteryjki takie, które nie licowały z jego poważnem zwykłym i szlachetnym usposobieniem, chciałby był najchętniej przejrzeć istotę kupca na wskroś, aby wiedzieć, czemu go zająć najlepiej można.

Ukradkiem spojrzawszy na zegarek i przekonał się ku wielkiemu zadowoleniu, że zbliża się chwila odjazdu gości; w duchu dziękował już udręczony szlachcic Bogu, że udało mu się pozbyć kłopotu, gdy pan Deneker, przywołał siostrzeńca słowami:

— Gustawie, wypijemy teraz na pożegnanie ostatnie kieliszki wina, bo już piąta godzina nadchodzi!

Znowu zdrętwiał i zbladł pan Vlierbecke, co zmiarkowawszy pan Deneker i nie umiejąc sobie powodu wytłumaczyć, zapytał:

— Czy pan niezdrów się czuje, panie Vlierbecke?

— Dostaję kurczy żołądka na samo wspomnienie o winie, — wyjąkał zapytany, — to nerwowe.

Nagle rozpogodziła mu się twarz i wskazując ręką w stronę bramy, zawołał z widocznym zadowoleniem:

— Otóż i powóz pański nadjeżdża!

I rzeczywiście stanął elegancki pojazd kupca przed kamiennymi schodami starego dworu szlachcica.

Pan Deneker nie wspomniał więc już o winie; zastanowiło go to tylko, dla czego gospodarz zdawał się cieszyć z jego odjazdu; gdyby nie poprzednio okazywana mu gościnność, byłby się mógł czuć obrażonym. Tak więc tylko przypisał nagle zmianę w usposobieniu pana Vlierbecke niedomaganiu, do którego z pewnością z grzeczności tylko przyznać się nie chce. Ścisnąc więc rękę szlachcicowi, odezwał się uprzejmie:

— Panie Vlierbecke, wdzięcznym panu jestem za te kilka miłych godzin, któreśmy

w towarzystwie pańskim i uroczej córki pana spędzili. Cieszę się, że mogłem bliższą z państwem zawrzeć znajomość i mam nadzieję, że przyjacielski pomiędzy naszymi rodzinami zapakuje stosunek. Żałuję, że nie mogę zaprosić państwa w najbliższym czasie do siebie, gdyż pojutrze wyjechać muszę za interesami na kilka miesięcy do Frankfurtu. Myślę jednak, że odwiedziny siostrzeńca mego łaskawie przez oboje państwa przyjęte będą?

Szlachcic rad, że wreszcie pozbędzie się niepokojów, zapewniał kupca o szczerzej swej sympatii, Eleonora zaś milczała, choć Gustaw oczyma błagał ją o przyjazne słowo.

Wuj zbliżał się już do powozu.

— A kieliszek wina na pożegnanie! Wejźmy jeszcze na chwilę, — prosił Gustaw.

— Nie możemy już się zatrzymywać dłużej, bo wiesz, że musimy dziś jeszcze być w mieście.

Gustaw i Eleonora zamienili długie spojrzenie, w którym mieścił się żal rozstania ale i nadzieja rychłego zobaczenia się, pan Deneker z panem Vlierbecke podali sobie ręce jak szczerzy przyjaciele, i za chwilę zniknął elegancki powóz z panami na skrócie drogi.

IV.

Na drugi dzień po wyjeździe wuja do Frankfurtu zjawił się Gustaw z wizytą. Pan Vlierbecke

i Eleonora przyjęli go bardzo uprzejmie, tak, że przepędził w ich towarzystwie większą część popołudnia i dopiero nad wieczorem powrócił do pałacu nad jeziorem z głową pełną uroczych wspomnień.

Z początku nie odważył się na częstsze odwiedziny, gdyż uważał to za naprzykrzanie się; po dwóch tygodniach jednak, gdy odwiedził powtórnie pana Vlierbecke i córkę jego i równie serdecznie został przyjętym jak za pierwszej bytności, rozwiały się jego obawy i zaczął bywać już teraz codziennie bez żadnych skrupułów, codzień więcej rozkochany w pięknej paniencie.

Godziny mijały młodym z błyskawiczną szybkością. Przechadzali się wraz z ojcem Eleonory po cienistych drogach parku, Gustaw przysłuchiwał się z przyjemnością poważnym rozmowom córki z ojcem, zachwycał się pięknym i dźwięcznym głosem dziewczęcia, gdy śpiewało, lub siedział milczący pod krzakiem katalpy, rozmiłowanym okiem śledząc każdy ruch ukochanej dziewczyny, i modlił się duszą całą, aby to urocze stworzenie zostać mogło jego żoną.

Arystokratyczna piękność dziewczyny zachwycała go od razu w chwili, gdy przed kościołem pierwszy raz zamienili z sobą spojrzenia; teraz jednak, gdy poznał jej szlachetną piękność duszy i umysłu także, doszła miłość jego do takiej potęgi, że nie pojmował już życia bez jej widoku.

W jego mniemaniu żaden anioł z nieba nie mógł jaśnieć większą urodą jak jego ukochanie, w którym z urodą zewnętrzną łączyła się czystość serca nieskalana jeszcze tchnieniem świata.

Dla ojca Eleonory czuł Gustaw głęboki szacunek i kochał go synowską prawie miłością, mimo to jednak przykrem mu było przeświadczenie, że wszystko co słyszał o skąpstwie jego, było prawdą. Nigdy nie poczęstowano go u Vlierbecków winem lub piwem, nigdy nie zaproszono na kolację; podpadło mu nawet, że pan Vlierbecke niespokojnym się stawał, gdy zbliżała się wieczornego posiłku chwila.

Sknerstwo jest namiętnością, która wstręt budzi w ludziach, gdyż zabija w sercu człowieka wszelkie uczucie i czyni je zimnem i samolubnem. Także i Gustaw starał się usilnie nie zniechęcać się z tego powodu do ojca Eleonory, i wmawiał w siebie, że jest to tylko dziwactwo, wynikające prawdopodobnie z lekkiego zboczenia umysłowego i nie zdolne podkopać wrodzonej szlachetności jego duszy.

Gdyby młodzieniec znał prawdziwy powód tego postępowania szlachcica, gdyby zajrzeć mógł w głąb jego serca, przekonałby się co za ból szalony szarpał niem, podczas gdy twarz uśmiechała się swobodnie! On szczęśliwy, bogaty, który pił z rozkoszą z pełnej czary miłości, nie wiedział, że życie ojca ubóstwianej było ustawicznym cierpieniem, że dzień i noc stała mu

przed oczyma duszy straszna przyszłość i z bolesnem ściśnieniem serca liczył godziny, które dzieliły go jeszcze od ostatecznego nieszczęścia. Bo czyż nie usłyszał od notaryusza okropnych słów: — Po czterech miesiącach płatnym jest weksel pański i wtedy zostaną sprzedane dobra pańskie drogą publicznej licytacji. — Z tych czterech miesięcy minęły już obecnie dwa.

Jeżeli popierał miłość Gustawa do Eleonory, to nie przez samą życzliwość tylko ku niemu, ale i z wyrachowania, gdyż wiedział, że los jego tak czy owak w najbliższym czasie rozstrzygnąć się musi. Albo zwyciężąc wyjdzie z dziesięcioletniej walki z ubóstwem, albo padnie zwyciężony i zdeptyany szyderstwem i wzdardą ludzi nielitościwych.

Dla tego coraz staranniej ukrywał swoją biedę; jak anioł opiekuńczy czuwał nad młodymi i nie przedsiębrał nic, coby mogło powstrzymać Gustawa w połowie drogi do przedsięwziętego celu, t. j. do poślubienia dziewczęcia.

Gdy zbliżał się czas powrotu pana Denekera z zalem patrzył Gustaw na minione ostatnie tygodnie jako na sen rozkoszny. Spodziewał się, że wuj zamiarom jego przeszkód stawiać nie będzie, ale wiedział też, że wuj nie pozwoli mu tyle czasu spędzać beczynnie przy boku Eleonory. Myśl, że tygodniami całymi może być pozbawionym widoku ukochanej, dręczyła go niezmiernie, i dla tego też z niechęcią oczekiwał przybycia swego wuja i dobroczyńcy.

Gdy pewnego dnia zdradził się z obawami swemi przed Eleonorą i ujrzał łzy w jej oczach, wzruszył się tak, że dłuższy czas na rozmowę zdobyć się nie mógł.

Jeszcze przed zwykłą godziną odjazdu, pożegnał Gustaw ukochaną, która ze zdziwieniem spostrzegła w nim nagłą, niczem nieuzasadnioną zmianę, twarz jaśniała mu bowiem radością i nadzieją. Chciała zapytać go o powód tak nagłej zmiany usposobienia, lecz pożegnał ją pospiesznie, prosząc, aby cierpliwie poczekała na wyjaśnienie tajemnicy do jutra.

Pan Vlierbecke z ócz młodzieńca wyczytał, co się w sercu jego działo i pierwszy raz od wielu lat przyjemne marzenia ukołysały nieszczęśliwego ojca do snu. Następnego dnia, gdy zbliżała się zwykła godzina przyjazdu Gustawa, zapanować nad wewnętrznym wzruszeniem prawie nie mógł.

Wreszcie zaturkotały koła powozu przed bramą i młodzieniec lekko wyskoczył z pojazdu.

Uprzejmie powitał szlachcic młodego gościa, a z ciemnego jego ubrania domyślił się zaraz, że na poważną przygotować się będzie musiał rozmowę. Ponieważ Gustaw życzył sobie rozmowy z nim bez świadków, wprowadził go pan Vlierbecke do saloniku i uśmiechem pokrywając niepokój, odezwał się: — Służę ci, młody przyjacielu! — Gustaw milczał chwilę, zbierając myśli, wreszcie zaczął mówić głosem wzruszonym ale i stanowczym:

— Domyśla się pan może, panie Vlierbecke, z jaką dziś przybywam do pana sprawą i na-przód proszę, aby mi Pan śmiałość moją wyba-czył. Nie uszło pewnie bacznej uwagi pana, że pokochałem Eleonorę od pierwszego razu, gdy ją ujrzałem; wtedy zjawiła mi się przed kościołem jak anioł biały, i taką pozostała też w moich oczach do dnia dzisiejszego. Może źle postą-piłem, że nie poprosiłem pana o pozwolenie starania się o miłość i rękę Eleonory, nim po-zwoliłem uczuciu zawładnąć całą moją istotą, ale przecucie mówiło mi, że nie jesteś mi Pan przeciwnym.

Młodzieniec umilkł, czekając co powie szla- chcic, lecz on wpatrywał się milcząc z zagad- kowym uśmiechem w piękną twarz Gustawa. Ruchem ręki dał tylko znak, że oczekuje dalszego ciągu przemowy.

Gustawowi zdawało się, jakoby ziemia usu- wała mu się z pod nóg, nie wiedział bowiem jak wytłumaczyć sobie zagadkowe zachowanie się szlachcica. Zdobywając się jednak siłą woli na odwagę, mówił dalej:

— Tak, pokochałem Eleonorę szczerze i głę- boko i uczucie to strawi mnie, jeżeli mi pan wszelką odbierze nadzieję. Pokochałem w Ele- onorze nietylko jej piękną twarz i smukłą postać, ale te wszystkie skarby, które odkryłem w jej duszy. Bez Eleonory żyćbym już teraz nie mógł, sama myśl, że mógłbym ją utracić pozbawia

mnie prawie przytomności. Nie wiem, co pan uczynić w tej sprawie zamysłasz, ale to tylko powiedzieć panu mogę, że złamiesz mi życie, jeśli mi ręki córki swej odmówisz.

Gustaw mówił tonem szczerego przekonania. Teraz wreszcie ujął pan Vlierbecke rękę młodzień- ca i odezwał się:

— Uspokój się, chłopcze, wiem, że kochasz Eleonorę i że ona ci jest wzajemną. Ale, zdaje mi się, że nie wszystek jeszcze ciężar zrzuciłeś z serca swego przedemną.

Ze spuszczonemi oczyma mówił więc Gu- staw dalej:

— Prawda, zgadłeś pan, dręczy mnie obawa, że może uznasz mnie pan niegodnym ręki córki szlachcica. Nie mogę przedstawić panu żadnego rodowodu, przodkowie moi nie położyli zasług wobec Ojczyzny, w żyłach moich nie płynie krew patrycjuszowska.

— Czy myślisz, młody przyjacielu, że nie wiedziałem o tem, gdy ci pierwszy raz w dom swój przyjął? Wiem o tem, ale poznałem też szlachetne i wspaniałomyślne serce twoje i dla tego pokochałem cię jak syna.

— A więc nie odmówisz mi pan ręki Eleo- nory, gdy i wuj mój da swe zezwolenie?

— Nie odmówię ci jej — odrzekł pan Vlier- becke — i z radością powierzę ci los mego dziecka, ale jest jeszcze jedna przeszkoda, której nie znasz.

— Przeszkoda, — zawołał młodzieniec prze-
rażony, — przeszkoda pomiędzy Eleonorą i mną?

— Posłuchaj spokojnie, co ci powiem, chłopcze.
Myślisz z pewnością, że stary ten dwór mój
wraz z przyległościami stanie się kiedyś wianem
Eleonory; jeśli tego się spodziewasz, to muszę
ci powiedzieć, że nieposiadam nic, że uboższy
jestem jak mój dzierzawca, mieszkający w małym
domku przy bramie.

Młodzieniec patrzył na mówiącego najpierw
ze zdziwieniem, potem z niedowierzaniem, co
bolesny uśmiech wywołało na twarz szlachcica.

— Widzę, że nie wierzysz słowom moim,
w twoich oczach jestem podłym skąpcem, który
sobie i dziecku od ust odejmuje, aby złoto gro-
madzić, kutwą, którym się gardzić powinno i któ-
rego obawiać się trzeba.

— O daruj pan, — zawołał Gustaw, przestra-
szony wybuchem szlachcica, — nie chciałem
obrazić pana, szanuję i kocham pana jak syn
rodzony!

— Nie obawiaj się przyznać, Gustawie, że
i w twoich oczach uchodziłem raczej za sknerę
niż za uboższego człowieka; jest to tylko dowodem,
że dobrze odgrywałem tę bolesną komedię. Zby-
teczne byłyby teraz wszelkie bliższe objaśnienia.
Co ci mówię, prawdą jest: nic nie posiadam, ale
też zgoła nic! Powrót do domu, nie zobaczywszy
się dziś z Eleonorą i rozważ spokojnie, czy wobec
jej ubóstwa, mógłbyś ją pojąć za żonę. Jeśli

jutro, równie ci ona będzie drogą jak dziś, jeśli
uznasz, że możesz z nią być szczęśliwym i ją
nawzajem uszczęśliwić, wtedy postaraj się o ze-
zwolenie wuja. Uściśnij teraz rękę moją, która
oby ci ojcowską stać się mogła, pragnę całym
sercem.

Uroczysty i spokojny ton pana Vlierbecke,
przekonał młodzieńca, że szlachcic prawdę mówił.
Choć zdziwiony tą niespodziewaną wiadomością,
zawołał jednak bez namysłu: — Czy Eleonora
jako uboga równie mi drogą będzie jak bogata?!
O Boże, ależ ja całą duszą pragnę uczynić ją
swą żoną, nierozzerwalnymi węzły miłości przy-
kuć ją do siebie, rozkoszować się jej ciągłą
obecnością, pragnę otaczać ją swą opieką i pracą
moją ją uszczęśliwiać. Obojętne mi, czy żyć
będę w dostatku lub biedzie, czy w pałacu lub
chatce, byleby ona była ze mną. Nie potrzebuję
ani godziny czasu do namysłu, teraz w tej chwili
już na klęczkach ci podziękuję, jeśli uszczęśliwiz
mnie ręką mej ukochanej nadewszystko Eleonory.

— Wierzę ci, kochany Gustawie, — rzekł
szlachcic, — mówisz nieogłędnie jak zwyczajnie
młody rozkochany, nie wiesz jednak jeszcze, co
wuj twój na to powie!

— Mój wuj, — powtórzył Gustaw, nieco zanie-
pokojony. — Prawda, muszę mieć wzgląd na
jego zdanie. To, co posiadam teraz i posiadać
mogę w przyszłości, od jego wspaniałomyślności
zależy. Jestem sierotą, bratankiem jego, on mnie

przygarnął do siebie, obsypał dobrodziejstwami, ma więc prawo stanowić o moim losie i muszę być mu posłusznym.

— A czy on jako kupiec, znający wartość pieniędzy, powie tak jak ty: obojętne mi, czy Eleonora bogata lub uboga?

— Nie wiem, panie Vlierbecke — westchnął smutnie Gustaw, — ale jest dla mnie zawsze tak dobrym i serdecznym, że mam nadzieję, że w tak ważnej chwili, gdy chodzi o los mój, okrutnym się nie okaże. Jutro, zaraz po powitaniu, powiem mu, że spokój i szczęście życia mego tylko od jego zezwolenia zależy. On sam bardzo lubi Eleonorę i uważałem, że zachowaniem swoim jakoby zachęcał mnie do starania się o jej rękę; zdziwi się z pewnością, gdy powtórzę mu, co od pana usłyszałem, ale jestem pewny prawie, że prośby moje wzruszą go.

Szlachcic wstał z krzesła, chcąc zakończyć rozmowę i odezwał się jeszcze:

— Dobrze więc, Gustawie, porozumiej się najpierw z wujem, a gdy on zgodzi się na wasz związek, niech przyjedzie do mnie, aby o reszcie rozmówić się można. Jakikolwiek będzie wynik twojej z wujem rozmowy, wdzięczny ci jestem bardzo, gdyż postąpiłeś szlachetnie i uczciwie, reszta teraz nie od ciebie już zależy. Odjedź teraz i nie staraj się zobaczyć z Eleonorą prędzej, aż sprawa się ułoży. Powiadomię ją sam o tem, co będę uważał za potrzebne!

Zadowolony, ale i smutny, z sercem pełnem obawy i nadziei, pożegnał się Gustaw z ojcem Eleonory.

V.

Następnego dnia po południu siedział pan Vlierbecke z głową opartą na dłoni w górnej sali swego mieszkania. Musiał być zamyślonym głęboko, gdyż spojrzenie jego było niepewne, a na twarzy odbijały się kolejno zadowolenie i nadzieje, troska i obawa.

Eleonora wchodziła co chwilę do pokoju ojca, stała chwileczkę lub przechadzała się gorączkowo po pokoju, patrzyła oknem do ogrodu i wychodziła do dalszych komnat; najwidoczniej niecierpliwie oczekiwała kogoś drogiego sercu, który się jakoś dzisiaj spóźniał.

Gdyby mogła wiedzieć, jaka obawa dręczyła ojca jej, nie byłaby z pewnością snuła tak pięknych marzeń na przyszłość, lecz troskliwy o spokój dziecka swego ojciec, nie okazywał uczuć swoich. Wreszcie zmęczona bezcelowem chodzeniem, usiadła obok niego i patrzyła mu w twarz badawczem spojrzeniem.

— Dziecko drogie, bądź cierpliwą — przemówił do niej. — Dzisiaj się przecież jeszcze niczego dowiedzieć nie możemy, dopiero jutro może. Nie ciesz się naprzód, to też i rozczarowanie mniej będzie bolesne, jeśli Pan Bóg pokieruje wszystkim inaczej, jak ty sobie życzysz.

— Ojcie kochany, — odpowiedziała Eleonora — serce mówi mi, że Pan Bóg okaże się dla nas łaskawym. Nie dziw mi się, ojczulku; wystawiam sobie bowiem Gustawa, rozmawiającego z wujem swoim; wiem, co on mówi i co mu pan Deneker odpowiada; widzę, jak Gustaw całuje go i ściska z wdzięczności. Tak, ojcie, mam przecucie, że pan Deneker na małżeństwo nasze zezwoli, lubi mnie przecież i okazywał się dla mnie bardzo dobrym.

— Czułabyś się więc szczęśliwą jako narzeczona Gustawa? — zapytał ją ojciec.

— Ależ najzupełniej byłabym szczęśliwą, — zawołała Eleonora w uniesieniu, — towarzyszyłabym mu wszędzie, otoczyłabym go najtroskliwszą pieczołowitością, stałabym mu się radością jego i pociechą, miłość nasza wniosłaby szczęście i życie w ten cichy tutaj zakątek. Słodzilibyśmy ci oboje każdą chwilę życia, ojczusku, a wiesz jak Gustaw potrafi spędzać ci chmurki smutku z czoła. Wychodziłbyś z nim na przechadzki lub na polowanie i byłbyś wesoła i zadowolona, Gustaw będzie cię kochał jak syn rodzony i otoczy cię swą opieką. Starać się będzie, abyś był szczęśliwym, bo wie, że to jest mojem najgorętszem pragnieniem; ja wdzięczną mu będę za jego szlachetność i uścielę mu drogę życia kwiatami najpiękniejszymi, na jakie tylko wdzięczność i miłość zdobyć się mogą. Będziemy żyli tutaj jak w raju.

— Biedne, niewinne dziecko, — westchnął pan Vlierbecke wzruszony, — oby cię Bóg wysłuchać raczył! Nie wiesz jeszcze o tem, że świat ma różne prawa i przepisy, do których stósować się trzeba, a jednym z nich jest, że żona musi iść wszędzie za mężem; jeśliby Gustaw wybrał dla was obojga inne miejsce zamieszkania, musiałabyś pójść za nim i pocieszyć się gdzieindziej zdala odemnie. Bolesne byłoby mi rozstanie z tobą, Eleonoro, ale zniósłbym je chętnie, gdybym wiedział, że to dla twego szczęścia potrzebne.

Dziewczę patrzyło na mówiącego z przerażeniem w cudnych oczach; gdy skończył, oparło głowę na ramieniu ojca i łzy zrosiły piękną jego twarzyczkę.

Pan Vlierbecke ujął rękę córki i starał się uspokoić ją łagodnym głosem.

— Wiedziałem Eleonoro, że ci słowami meimi przykrość sprawię, lecz musiałem cię przysposobić na możliwość rozstania się ze mną.

Eleonora podniosła główkę i wyrzekła stanowczo:

— Gustaw nie może wymagać odemnie, abym cię opuściła. Ty miałbyś żyć tutaj samotny i opuszczony, podczas gdy ja podróżowałabym po świecie, lub towarzyszyła mężowi na zabawy? Nie zaznałabym chwili spokoju, gdyż sumienie wyrzucałoby mi bezustannie samolubstwo moje i niewdzięczność względem najlep-

szego z ojców. Kocham wprawdzie Gustawa więcej jak życie własne, i nad wyraz byłabym szczęśliwą, gdyby mi Bóg pozwolił zostać jego żoną, odepchnęłabym go jednak bez wahania, gdyby miał żądać odemnie, abym ciebie opuściła, ojczel!... Bolałabym nad tem, chorowałabym może i może nawet umarła z żalu — ale na twojem ręku i przy twojem sercu!

Pan Vlierbecke przyciągnął córkę do siebie i serdecznie ucałował wzruszoną. Nagle wyrwała mu się z objęć, i skacząc i śmiejąc się z radości, wskazywała palcem w okno, przez które dochodził turkot nadjeżdżającego pojazdu. Usłyszał go teraz i pan Vlierbecke i z wyrazem radości na twarzy, zbiegł ze schodów, aby u drzwi domu powitać przybyłego.

Pan Deneker, w doskonałym widocznie humorze, uścisnął serdecznie rękę szlachcica i zawołał na powitanie:

— Jakże się cieszę, że widzę pana znowu! A jakże ze zdrowiem państwa? Coś mi się zdaje, że siostrzeniec mój umiał na swą korzyść wyzyskać tutaj czas mojej nieobecności.

Podczas gdy gospodarz prowadził gościa do salonu ze zwykłą dworskością, kupiec poklepał go poufale po ramieniu i rzekł, śmiejąc się serdecznie:

— No, byliśmy dotychczas przyjaciółmi, zanosi się jednak obecnie na to, że i krewnymi zostaniemy; nicpoń Gustaw, umie się kręcić;

przyznać muszę, że gust pokazał wyśmienity, gdyż długo szukaćby musiał, nim znalazłby piękniejszą żonę jak Eleonora. Wyprawimy też wesele, o jakim po dwudziestu latach jeszcze wspominać będą.

Tymczasem weszli panowie do saloniku i zasiedli w fotelach. Szlachcic uszom swoim nie dowierzał i z powątpiewaniem spoglądał na gościa. Ten zaś mówił dalej:

— Gustaw doczekać już szczęścia swego nie może i na klęczkach prosił mnie o pospieszne załatwienie sprawy. Lituję się nad nim i dla tego też porzuciłem wszelkie moje interesa i przybyłem tutaj, aby z panem się rozmówić. Mówił mi siostrzeniec mój, że nie odmawiasz mu pan ręki córki swej, co mnie bardzo cieszy. Myślałem i ja dużo o tem małżeństwie, ale obawiałem się, że pan, jako szlachcic z krwi i kości, nie będzie chciał oddać córki swej człowiekowi mieszczańskiego pochodzenia.

— Więc Gustaw powiedział panu, że nie mam nic jemu do zarzucenia? — zapytał pan Vlierbecke.

— Przypuszczam chyba, że nie oszukał mnie? odrzekł zdziwiony kupiec.

— A czy nie wspomniał panu o czemś innym jeszcze, nie mniej ważnem?

— Ach, niedorzeczność, — odpowiedział kupiec, śmiejąc się wesoło, — sprawę tę zaraz wyświetlimy. Mówił mi, że posiadłość tutajsza

nie należy do pana, że pan jesteś ubogim; przypuszczam jednak, że pan nie spodziewa się, abym ja w tę bajkę uwierzył.

Szlachcic zdrzął. Początkowo myślał, że kupiec dobrze już jest o wszystkim powiadomiony i mimo to na małżeństwo się zgadza; przekonał się jednak, że sprawę tę bolesną raz jeszcze poruszyć będzie musiał. Wezwawszy całą odwagę na pomoc, odezwał się:

— Panie Deneker, proszę nie powątpiewać ani chwili o prawdziwości tego, co powiem. Zgadzam się na małżeństwo Eleonory z Gustawem, ale oświadczam, że jestem człowiekiem ubogim — najzupełniej ubogim.

— Tak, tak, — przerwał mu kupiec, — wiem dobrze już dawno, jak rozmiłowanym pan jesteś w swych pieniądzech, i wiedzą też o tem wszyscy; teraz przecież, gdy wydajesz pan jednak córkę za męża, niepodobno, abys pan nie miał ruszyć kieszenia i dać stósownego posagu. Teraz już uważają pana ogólnie za skąpca, cóżby potem powiedziano?

Szlachcic siedział jak na rozpalonych węglach.

— Na miłość Boską, — błagał, — oszczędź mi pan tych gorzkich przymówek, słowem szlachcica zaręczam panu, że nie posiadam zgoła nic na świecie!

— A więc, — odpowiedział z przebiegłym uśmiechem kupiec, — spróbujmy, jak się rzecz ta przedstawi liczbami na papierze. Nie obawiaj

się pan, abym wymagał od pana wielkich ofiar, bynajmniej, panie Vlierbecke, nie potrzebuję obcych pieniędzy, mam swoich dosyć, dzięki Bogu; ale ponieważ małżeństwo jest spółką, należy się, aby każdy z współników złożył do kasy jakąś część, chociażby udziały miały być nierówne.

— Boże, Boże, — jęknął szlachcic, załamując ręce.

— Posłuchaj pan dalej, — mówił kupiec, — daję siostrzeńcowi mojemu zaraz 100.000 franków, a jeśli pozostanie nadal w mojem przedsiębiorstwie, może spodziewać się później więcej jeszcze. Nie wymagam bynajmniej, aby Eleonora wniosła jako posag, równie wysoką sumę, gdyż urodzenie jej i piękność wynagrodzą to, czegoby nie dostawało, ale przecież mógłby pan poświęcić jedynaczce połowę tej sumy, t. j. 50.000 franków, co, nieprawda? Nie upieraj się pan dłużej.

Blady i zgnębiony siedział szlachcic na krzesku, wreszcie zdobył się na odpowiedź:

— Panie Deneker, rozmowa ta zabija mnie poprostu, nie męcz mnie pan dłużej! Powtarzam panu, że nie posiadam żadnych kapitałów, a ziemia moja już ponad wartość przeciążona są hipotekami; zbytecznem byłoby tłumaczyć panu, skąd ta moc długów pochodzi, zaręczam panu jednak, że tak jest, jak mówię. Proszę więc powiedzieć wyraźnie, co pan wobec tego o małżeństwie tem myślisz!

Objaśnienie to, mimo iż wypowiedziane tonem bardzo poważnym, nie przekonało jednak jeszcze kupca. Nie tał też bynajmniej powątpiewania swego, ale mówił dalej z niewzruszonym spokojem:

— Daruj pan, ale doprawdy uwierzyć temu nie mogę; nie przypuszczałem, że pan takim upartym być możesz. No, ale mniejsza o to! Każdy człowiek podlega ułomnościom, jeden bywa rozrzutnym, inny znowu zanadto oszczędnym. Ustąpię więc, gdyż chciałem, aby Gustaw był szczęśliwym. Daj pan córce swej 25.000 franków, pod warunkiem jednak, że nikt się o tem nie dowie, gdyż wyśmianoby mnie. 25.000 franków! To chyba nie będzie panu zdawało się za wiele, toć to śmiesznie mało i wystarczy zaledwie na urządzenie domu. Proszę być rozsądnym i zgodzić się! No, podaj mi pan rękę na zgodę!

Rozgorączkowany poskoczył teraz szlachcic do szafki, i wyjmując z niej drżącą ręką paczkę papierów, podał ją kupcowi.

— Proszę przeczytać i przekonać się naocznie, jeśli pan słowom moim nie wierzy.

Kupiec przeglądał papiery w milczeniu, rysy jego twarzy zmieniały się co chwila, a szlachcic mówił dalej:

— Nie chciałeś mi pan uwierzyć, teraz dowiedz się pan już o wszystkim; oto jest jeszcze weksel na 4.000 franków, którego wyku-

pić nie mogę. Widzisz pan, że jestem najuboższym z ubogich, mam jeszcze długi, których zapłacić nie mam czem!

— A więc to prawda — rzekł po długiej chwili pan Deneker, zbity zupełnie z tropu... Jesteś pan ogołocony ze wszystkiego! Z papierów tych widzę, że adwokat mój załatwia i pańskie sprawy; rozmawiałem z nim już o stanie pańskiego majątku, i on nie otworzył mi oczu na prawdę.

Szlachcic odetchnął głęboko i zapytał z wrodzoną godnością i powagą:

— Wiesz już pan obecnie o wszystkim, jakie więc powzięłeś postanowienie co do małżeństwa?

— Postanowienie moje jest następujące: możemy pozostać nadal przyjaciółmi, ale o małżeństwie mowy już być nie może. — Hm! Tak więc pan kombinowałeś? Teraz dopiero wyjaśnia mi się niejedno! Spodziewałeś się pan zrobić dobry interes, sprzedając nam towar swój za możliwie wysoką cenę!

— Panie! — zawołał szlachcic z pałającymi oczyma. — Proszę o córce mej wyrażać się z szacunkiem i nie zapominać, kim ona jest, chociaż i nie ma posagu.

— Nie gorączkuj się pan, panie Vlierbecke, — rzekł na to kupiec, — nie chciałem pana obrazić. Byłbym podziwiał spryt pana, gdyby się panu projekty były udały: jesteś pan bardzo drażliwym na

punkcie honoru; proszę, wytłómacz mi pan jednak, jak postępowanie pańskie z siostrzeńcem moim zgadza się z honorem. Wabiłeś go pan w zastawione sidła i pozwoliłeś nieszczęsnemu uczuciu zawładnąć całą jego istotą.

Pan Vlierbecke, poczuwając się do winy, spuścił głowę, aby ukryć rumieniec wstydu, który oblał mu czoło, i nie odparł zarzutu.

— No, i cóż? — zapytał kupiec.

— Ach, — jęknął nieszczęśliwy szlachcic, — miejże pan litosć nademną! Postępowaniem mojem rządziła miłość moja do dziecka. Bóg nie poskąpił Eleonorze wielkich zalet, myślałem więc, że jej piękność, szlachetność i jej ród zrównoważy brak pieniędzy....

— W pojęciu pana, jako szlachcica, możeby tak było, ale nie w pojęciu kupca — mruknął pan Deneker.

— Nie zarzucaj mi pan, że starałem się przyciągać siostrzeńca pańskiego. Jest to zarzut niesprawiedliwy i ubliżający mi, choć prawda, że nie starałem się przeszkodzić młodemu w niczem, przeciwnie nawet, dziękowałem codziennie Bogu, że raczył w osobie Gustawa zesłać córce mojej wybawcę. Gdyż poznałem w Gustawie człowieka szlachetnych zasad, który mógłby uszczęśliwić żonę nie tylko pieniędzmi ale i zaletami serca i umysłu. Czyż to zbrodnia, gdy ojciec, pozbawiony majątku, stara się o to, aby dziecku własnemu zabezpieczyć życie bez troski?

— Zbrodnią nie jest, — odpowiedział kupiec, — chodzi tylko o to, czy się ojcu zabiegi takie powiodą. W tym tu wypadku źleś się pan urządził, panie Vlierbecke, gdyż ja jestem człowiekiem, który każdy towar dokładnie zbada, nim go kupi i nie pozwolę sobie przedstawić plew zamiast czystego ziarna.

Te kupieckie wywody raniły i oburzały szlachcica do najwyższego stopnia. Nie mogąc opanować wzburzenia, porwał się z krzesła i zawołał:

— Więc nie masz pan dla mnie ani odrobiny litości! Zarzucasz mi pan, że miałem zamiar pana oszukać, ale czyż to pan sam domyślił się mojego smutnego położenia? Przecież ja sam przedstawiłem panu dobrowolnie, jak rzeczy stoją; czy pan myśli, że ja, przyznając się do ubóstwa swego, zatraciłem w sobie poczucie własnej godności? Mówisz pan o córce mej, jak o towarze, który chciałem wam sprzedać, ale możesz pan być przekonany, że więcej ona dla mnie ma wartości, jak wszystkie wasze dostatki. Jeżeli zalety jej wewnętrzne nie mogą w oczach pańskich dorównać waszemu bogactwu, to nie zapominaj pan, że nazywam się Vlierbecke, a to, w ubóstwie naszym nawet, ma więcej znaczenia, jak wasze nazwisko razem z waszemi milionami.

Twarz szlachcica pałała oburzeniem, oczy błyskawice gniewu ciskały na kupca, który aż cofnął się przestraszony:

— No — rzekł, — nie warto tracić więcej słów, każdy niech pozostanie przy swoim i zachowa dla siebie swoją własność i rzecz skończona. Proszę tylko jeszcze, aby pan nie przyjmował więcej u siebie siostrzeńca mojego, gdyż w przeciwnym razie....

— Cóż to ma znaczyć, grozisz mi pan?

I gwałtem zmuszając się do pozornego spokoju, dodał:

— Teraz wreszcie dosyć tego! Czy życzysz pan sobie, aby powóz zajechał?

— Ależ panie — odezwał się jeszcze kupiec, — nie załatwiliśmy wprawdzie pomyślnie interesu, ale to nie powód, abyśmy się rozstać mieli jak nieprzyjaciele.

— Czas już skończyć, mój panie, gdyż rozmowa ta ubliża mi!

Z temi słowami odprowadził Vlierbecke kupca aż do drzwi, gdzie go krótkim ukłonem pożegnał; potem powrócił do pokoju, padł na krzesło, zupełnie sił pozbawiony i w bolesnej utonął zadumie. Siedział tak śmiertelnie blady, walcząc ze sobą, aby nie okazać na zewnątrz, co się w duszy jego działo.

Wreszcie posłyszał w sąsiednim pokoju szmer, który zbudził go z odrętwienia.

— Boże! — jęknął, — Eleonora nadchodzi; nie dosyć jeszcze, że cierpiałem sam, muszę jeszcze i to niewinne złamać serce, odejmując mu wszelką nadzieję! Ach, gdybym mógł uniknąć tej konieczności! Cóż jej mam powiedzieć?

Gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz i półgłosem dodał jeszcze sam do siebie:

— Ukryj własny ból i bądź odważnym! Choćby ci serce pękało z rozpacz, nie okaż jej tego! Cicho, już nadchodzi!

Rzeczywiście weszła Eleonora, pełna radośnego oczekiwania do pokoju i usiadła obok ojca.

Mimo usilnych starań nie udało się panu Vlierbecke spokojem pokryć wewnętrznego wzburzenia i Eleonora domyśliła go się natychmiast. Pierwsza przerwała też przykre milczenie:

— I cóż, ojczusku?

— Dziecko drogie, — odpowiedział szlachcic, — bardzo jesteśmy oboje nieszczęśliwi, Bóg nas srodze doświadcza, ale wolę Jego bez szemrania uznać należy.

— Co to znaczy? Czy pan Deneker na małżeństwo nasze nie zezwala? Mów ojciec prędzej!

— Nie pozwala, Eleonoro!

— Ależ to być nie może, — krzyknęło nieszczęśliwe dziewczę.

— Nie zezwala, ponieważ on ma miliony — a my jesteśmy ubodzy!

— Więc dla tego mam się wyrzec Gustawa bez żadnej nadziei?

— Bez nadziei, — odpowiedział ojciec złamanym głosem.

Krzyk rozpacz, wydarł się z piersi Eleonory, twarz łzami zalaną oparła o stół, a konwulsyjne drganie wstrząsało jej ciałem.

Szlachcic w milczeniu spoglądał na nieszczęśliwe swe dziecko, boleść głęboka rozlała się na jego twarzy, oczy, zwykle błyszczące, zamglone były i bezdennie smutne, ręce zaciskały się kurczowo.

Złożył je wreszcie jak do modlitwy i zbliżył się z błaganiami do rozpaczającej:

— Eleonoro, dziecko moje najdroższe, miej ty przynajmniej litość nademną, zapanuj nad sobą przez wzgląd na nieszczęśliwego ojca. W rozmowie z panem Denekerem znieść musiałem wszystkie upokorzenia i cierpienia, jakie szlachcica i ojca spotkać mogą... Ale wszystko to nic jeszcze wobec widoku twojej rozpacz, przewycięż się i spojrzij na mnie, a ulżysz mojej boleści, Eleonoro! W głowie czuję zamęt — zdaje mi się, że umrę z bólu!

Powiedziawszy to, padł jak martwy na krzesło.

Dziewczę zbliżyło się do niego, oparło mu głowę na ramieniu i westchnęło boleśnie:

— Mam go więc już nie widzieć więcej, pogrzebać wszelkie marzenia o szczęściu i miłości! Ależ on tego nie przeżyje, wiem o tem!...

— Eleonoro, Eleonoro — błagał szlachcic z płaczem.

— Ach, ojcze, czy ty rozumiesz, co dla mnie znaczy strata Gustawa? Pozostałeś mi teraz tylko ty, i póki ciebie będę miała, nie przestanę Bogu z pokorą dziękować! Tylko ty bądź zdrow i spokojny, to zniosę wszystko...

Pan Vlierbecke przycisnął córkę do serca i tak trwali długą chwilę złączeni serdecznym uściskiem.

VI.

Cztery dni po stanowczej rozmowie szlachcica z panem Denekerem, jechał drogą przez pole najęty pojazd, i zatrzymał się niedaleko dworu pana Vlierbecke.

Wyskoczył z powozu młody człowiek i wskazywał woźnicy najbliższy zajazd, jako miejsce wypoczynku, pieszo udał się w stronę parku. Wzruszony musiał być silnie, gdyż od czasu do czasu wstrząsał się nerwowo, jak gdyby własne przerażenia go myśli.

Spostrzegłszy uchyloną furtkę ogrodzenia, wydał stłumiony okrzyk radości, wszedł do ogrodu, wślizgnął się ostrożnie przez gąszcz krzaków aż do mostu, następnie pomiędzy wysokie drzewa, które jak mur otaczały stare dworzysko.

Przeszedłszy kilka kroków, stanął wzruszony, gdyż pod krzakiem katalpy ujrzał siedzącą Eleonorę.

Gustaw, gdyż to nim był podróżny, zbliżał się ostrożnie; mimo to jednak spostrzegła go dziewczyna i przerażona porwała się z miejsca z okrzykiem — Gustaw! — Chciała uciec, lecz nim zdążyła się ruszyć z miejsca, już młodzieniec klęczał u nóg jej, a pochwycawszy jej ręce, z śmiertelną obawą w głosie przemówił:

— Eleonoro, Eleonoro, posłuchaj mnie! Jeśli uciekniesz teraz odemnie i nie pozwolisz mi wypowiedzieć ci, jak okropnie cierpię i jakie mam nadzieje na przyszłość, umrę u stóp twoich, lub

pójdę w świat, daleko od ciebie i ojczyzny mojej!
Na miłość naszą zaklinam cię, zostań i posłuchaj
mnie!

Eleonora drżąca, mimo to pamiętna na dumę
i godność swą kobiecą, odpowiedziała oziębło:

— Nie pojmuję jak śmiesz pan jeszcze przy-
chodzić do nas po upokorzeniu, jakie ze strony
wujka pańskiego spotkało mego ojca. Przewyższało
to siły jego i teraz leży w gorączce, nieszczęśliwy.
Taka spotkała mnie nagroda za moją szczerą miłość!

— Boże, Boże, Eleonoro, ty do mnie masz
żał o to? Cóż ja w tem zawiniłem? — zawołał
młodzieniec z rozpaczą.

— Obecnie nic nas już nie łączy, — od-
rzekło dziewczę, — wiedz pan, że mimo ubóstwa
naszego, krew przodków, która w naszych płynie
żyłach, nie pozwala nam spokojnie znieść obelgi.
Powstań pan i oddał się, nie chcę i nie mogę
dłużej rozmawiać z panem.

— Łaski, litości! błagał młodzieniec, za-
łamując ręce, — ja przecież jestem niewinny,
Eleonoro!

Dziewczyna powstrzymała łzy, cisnące się do
oczu i chciała odejść.

— Boże, — żalił się młodzieniec, — ona
chce opuścić mnie na zawsze bez pożegnania, bez
słówka pociechy! Ukochana, czy nie wzruszy cię
cierpienie moje, czy pozostaniesz głuchą na prośby
moje?

Wspart głowę na stole i mówił z płaczem:

— Eleonoro, skazujesz mnie na śmierć, ale
przebaczam ci to; obyś bezemnie mogła być
szczęśliwą! Bądź zdrowa, żegnaj mi na zawsze!

Chciał się oddalić, lecz wyczerpany, opadł
na krzeselko.

Eleonora, która oddaliła się już była o kilka
kroków, zatrzymała się na widok rozpaczony uko-
chanego. Miłość i poczucie obowiązku walczyły
w jej sercu ze sobą, wreszcie zwyciężyło serce
i łzy trysnęły jej z oczu. Zbliżyła się do mło-
dzieńca, ujęła serdecznie rękę jego i żalnym
odezwała się głosem: — Gustawie, przyjacielu
drogi, oboje cierpimy okrutnie! — Na głos ten
ocknął się Gustaw, spojrział na stojącą przed nim
ukochaną dziewczynę i z ulgą w głosie odezwał
się:

— Eleonoro, kochanie moje, powróciłaś więc
do mnie! Ulitowałaś się nad moim bólem, i nie
odepchniesz mnie od siebie?

— Czyż miłość taka jak nasza, Gustawie,
skończyć się może na zawołanie i rozkaz?

— O nie, nie, — zawołał młodzieniec w unie-
sieniu, — miłość nasza wieki przetrwa, nieprawda,
Eleonoro? Równie silną pozostanie w biedzie
i w nieszczęściu, jak w pomyślności i trwać będzie
do ostatniego tchnienia! — Dziewczyna pochyliła
głowę, spuściła oczy i wyrzekła uroczyście:

— Nie myśl, Gustawie, że ja mniej cierpię
jak ty, jeśli przeświadczenie o miłości mojej, może
być dla ciebie dźwignią w życiu, to idź i bądź

silnym i dzielnym. Będę o tobie pamiętała zawsze — tam u góry zobaczymy się znowu — tutaj na ziemi już nie!

— O Eleonoro, mylisz się, — odrzekł Gustaw, — wuj mój z czasem da się ubłagać i wysłucha mnie!

— Być może, ale poczucie honoru ojca mego jest nieugięte, — odrzekła dziewczyna ze smutną powagą. — Odejdź teraz, Gustawie, już i tak przestąpiłam zakaz ojca, zrobiłam źle, romawiając z człowiekiem, który mężem moim nigdy nie będzie! Odejdź, ojciec nie przeżyłby wstydu i bólu, gdyby nas tu kto zobaczył!

— Jeszcze chwilkę, Eleonoro droga! Wuj odmówił mi pozwolenia, chociaż płakałem, błagałem, włosy rwałem z rozpacz... wszystko daremnie; wtedy mówiłem mu słowa takie, które mnie samego przeraziły, gdy wróciłem do przytomności. Na klęczkach przeprosiłem go więc, a on dobry przebaczył mi pod warunkiem, że udam się z nim w podróż do Włoch. Spodziewa się, że zapomnę z czasem o tobie, najdroższa! Jakbym ja o tobie mógł kiedykolwiek zapomnieć! Zgodziłem się jednak na ten projekt w myśli, że będąc z nim dłuższy czas sam na sam, otaczając go miłością synowską, zdołam upór jego przełamać, a wtedy wrócę, aby cię, ubraną w mirtowy wianek z przed stopni ołtarza odprowadzić jako ukochaną małżonkę.

Uśmiech rozjaśnił twarzyczkę Eleonory, oczy zabłyśły jej radością; wnet jednak ułuda znikła

jak bańka mydlana i dziewczę wyrzekło smutnym głosem.

— Biedny przyjacielu, nie łudź się, porzuć wszelką nadzieję; choćby nawet wuj twój zgodził się na nasze małżeństwo, ojciec mój teraz nie zezwoli — nigdy!

— Ojciec przebaczy wszystko i przyjmie mnie otwartemi rękoma za syna.

— Nie myśl tego, Gustawie, duma jego jest boleśnie zraniona, może przebaczyć jako chrześcianin, ale jako szlachcic nie zapomni doznanej zniewagi.

— Eleonoro, nie znasz ojca twego! Gdy powrócę z pozwoleniem wuja i powiem mu: — otóż jestem, aby uszczęśliwić córkę twoją, otoczyć ją miłością i radością, na jaką zdobyć się może kochające serce, daj mi ją za żonę, to, cóż myślisz, odpowie mi ojciec twój Eleonoro?

Ze spuszczonym wzrokiem odpowiedziała dziewczyna:

— Wiesz dobrze, jak mnie kocha, szczęście moje jest najgorętszym pragnieniem jego życia, powie zatem: bierz ją za żonę i bądźcie szczęśliwi!

— Prawda Eleonoro, że pozwoli? Widzisz więc, że nie wszystko jeszcze stracone, nie porzucaj więc i ty nadziei w lepszą przyszłość i daj mi tę pewność na drogę, że ufasz mi i poczekaś na mnie. Módl się za mną i myśl często o mnie, a serce z dala odczuje to i znajdzie siłę potrzebną do zniesienia bolesnej rozłąki.

Eleonora płakała; serdeczne i szczere słowa młodzieńca wyгнаły z jej serca dumę, a pozostawiły tylko miłość i ból. Spostrzegł to Gustaw i odezwał się:

— Odchodzę Eleonoro, i opuszczam ojczyznę i ciebie, ukochanie moje, pełen otuchy. Wszystko zniosę odważnie! A czy będziesz pamiętała o mnie, Eleonoro?

— Boże, ja ojcu przyrzec musiałam, że będę się starała zapomnieć o tobie?

— Chciał cię zmusić, abys zapomniała o mnie, Eleonoro?

— Bądź spokojny, Gustawie, — była cicha odpowiedź — pierwszy raz w życiu będę ojcu nieposłuszną, skłamałam, przyrzekając mu, czego chciał; zapomnieć cię nie mogę, będę cię kochała aż do śmierci!

— O dzięki, dzięki, Eleonoro, — zawołał uradowany Gustaw. — Niech cię Bóg otacza Swą opieką; obraz twój, jak anioł opiekuńczy będzie mnie strzegł dniami i nocą, w radości i cierpieniu. Serce pęka mi z żalu, lecz obowiązek woła — muszę już odejść. Bądź zdrowa, najdroższa moja, bądź zdrowa!

W gwałtownem wzruszeniu uściskał jej ręce i zniknął wśród drzew.

— Gustawie, Gustawie, bądź zdrow! — wołała Eleonora jak nieprzytomna. Siły odbiegły ją, tak że drżąc cała, szukać musiała oparcia. Padła na krzesło, oparła głowę o stół i łzy gójące popłynęły z jej pięknych oczu.

VII.

Eleonora opowiedziała ojcu o ostatnich odwiedzinach Gustawa i starała się łagodnymi słowy obudzić w jego stroskanem sercu nadzieję lepszej przyszłości, lecz usiłowania jej były daremne, gdyż pan Vlierbecke słuchał mowy jej obojętnie i nie odpowiadał ani słowa.

Odtąd stary dwór stał się jeszcze więcej smutnym i ponurym. Szlachcic, trapiiony ustawicznie smutnymi myślami, siedział zwykle z głową opartą o poręcz krzesła z oczyma przymkniętymi. Z pamięci nie wychodził mu z pewnością dzień płatności weksla, która to okoliczność pograżyć miała nieodwołalnie jego wraz z dzieckiem w ostatnią już nędzę.

Eleonora siłą woli zapanowała nad bólem serdecznym, spowodowanym zawodem swym miłosnym, aby widokiem swego cierpienia nie powiększać jeszcze przygnębienia ojca. Stawała się w jego obecności wesołą i swobodną, chcąc spędzić chmury z czoła jego, lecz daremnie. Dziękował jej wprawdzie uśmiechem i pieśszczotą, lecz uśmiech ten był smutny a pieśszczota nie tak czuła jak dawniej. Gdy Eleonora zapytywała go niekiedy o powód tak smutnego usposobienia, zwracał natychmiast uwagę jej na zupełnie coś innego. Całymi dniami błądził niestrudzenie po cienistych drogach parku i unikał nawet obecności córki ukochanej. Przerazało ją nieraz przypad-

kiem spostrzeżone rozpaczne spojrzenie jego pięknych oczu i przestraszały rozpaczliwe ruchy; gdy zbliżyła się jednak do niego z dziecinną pieśczołą, uciekał od niej do domu i tam zamykał się w najodleglejszym kąciku.

W ten sposób minął cały miesiąc. Z serdeczną obawą widziała Eleonora, że twarz ojca chudła i mizerniała, i oczy blask zwykły traciły, jak gdyby jakiś, wewnątrz ukryty, robak podgryzał siły żywotne tego silnego dawniej organizmu. Niebawem przekonać się miała naocznie, co za bolesna tajemnica dręczyła nieszczęśliwego ojca.

Od tygodnia może gorzały oczy pana Vlierbecke nienaturalnym jakimś blaskiem, najwidoczniej trawiła go gorączka; mowa, ruchy i uczynki jego świadczyły również o silnem naprężeniu nerwów. Jeździł do miasta kilkakrotnie, nie zdradzając jednak powodu tych częstych wycieczek. Wracał późnym wieczorem do domu, zasiadał przy stole razem z córką aż do chwili, gdy oboje udawać się byli zwykli na spoczynek. Eleonora wiedziała jednak, że ojciec nie śpi, gdyż sama, trawiona śmiertelnym niepokojem o niego, oka zmrzyć nie mogła i słyszała jak godzinami całemi trzeszczała podłoga pod stopami przechadzającego się w swej sypialni ojca.

Eleonora była z natury już odważną i stanowczą, a niezwykle, jak na młodą dziewczynę, wychowanie, wyrobiło w niej męską prawie energią ducha; postanowiła więc też wreszcie

narazić się choćby i na gniew ojca, ale dowiedzieć się bądź co bądź co za bolesna tajemnica ciąży mu na sercu. Nieraz już zbliżała się do niego w tym zamiarze, lecz wahała się jeszcze zniechęcona ponurym wyrazem jego twarzy i przenikliwym spojrzeniem. Instynktownie czuła, że ojciec domyśla się jej zamiaru i stara się uniknąć pytania.

Pewnego dnia odjechał pan Vlierbecke znowu rychło rano do miasta. Południe już minęło i Eleonora, rzucona na pastwę niepokojących myśli, przechadzała się po osamotnionych pokojach.

Przypadkowo, nie myśląc wcale o tem co czyni, otworzyła szufladę stołu, przy którym zwykł siadywać ojciec, i nagle pod wpływem chęci odkrycia tajemnicy ojca, przeglądać chciała znajdujące się w niej papiery. Na wierzchu samym spostrzegła zaraz arkusz zapisanego papieru. Skoro tylko rzuciła nań okiem zbladła i drżąc na całym ciele, czytała treść pisma do końca.

Przeczytawszy, zamknęła szufladę i wyszła z pokoju ze spuszczoną głową krokiem ociężałym jak człowiek duchem i ciałem śmiertelnie zmęczony; w przedpokoju przystanąła chwilę i szepnęła do siebie: — Dla czego mielibyśmy sprzedać majątność naszą?... Pan Deneker drwił wprawdzie z ojca, że nie jesteśmy bogaci, ale czyżbyśmy do tego stopnia ubogimi być mieli, żeby nam wszystko odebrać miano?... Cóż to za

zagadka dziwna? Boże mój, byłby to powód cierpień mego drogiego ojca?...

Eleonora zamyśliła się głęboko, wnet jednak twarzyczka jej się rozjaśniała, usta poruszyły się i oczy blasku nabrały.

Przygotowując się w duchu do walki z hańbą i upokorzeniem, ujrzała wjeżdżając w podwórze powozik ojca.

Podpadło jej odrazu, że ojciec siedział w nim zupełnie apatycznie z oczyma bardzo smutnymi, a wzruszona tym widokiem, słowa zrazu przemówić na powitanie nie mogła. Wnet jednak udało jej się pokonać wzruszenie, gdy pomyślała:

— Czy zawsze mam się cofać w ostatniej chwili i przez niczem nieuzasadnioną obawę pozwalać ojcu zamęczać się tajemiem cierpienia przedemną? Nie, muszę dowiedzieć się wreszcie o wszystkim, muszę, pomimo jego woli, wyrwać przemocą rdzeń cierpienia ze zbolalej jego duszy i ocalić go potęgą swej miłości!

Powziąwszy to szlachetne postanowienie, przebiegła kilka pokoi, w ostatnim zastała ojca siedzącego przy stole z twarzą rześnistą zalaną łzami. Eleonora przestraszona, jednym skokiem była tuż przy nim, a załamując ręce, błagała ze łzami w głosie:

— Ojcze, na miłość Boską, zaklinam cię, wyjaw mi powód twego bólu; powiedz mi, co cię tak dręczy! Niech dowiem się, dla czego ojciec mój drogi płacze!

— Eleonoro, ty mój skarbie jedyny na świecie, — odrzekł szlachcic z bolesnym uśmiechem — przerażałaś się bardzo, prawda? Pójdź, spoczniij na sercu mojem i dowiedz się, że cios straszliwy jak miecz Damoklesa wisi nad naszemi głowami; bardzo, bardzo jesteśmy oboje nieszczęśliwi!

Dziewica wysunęła się łagodnie z otulających ją ramion ojca i odezwała się stanowczym głosem:

— Ojcze mój, nie jestem przecież już dzieckiem, a teraz przyszedłem do ciebie z silnem postanowieniem dowiedzenia się, co za nieszczęście pozbawiało mnie w ostatnim czasie miłości ojcowskiej. Szanuję cię bardzo, kocham jednak jeszcze więcej i dla tego właśnie chcę i muszę dowiedzieć się prawdy.

— Co mówisz, dziecko, ja miałbym cię przestać kochać? Toć właśnie miłość bezgraniczna ku tobie, dziecko ty moje uwielbione, jest w głównej mierze powodem i tajemnicą mego [cierpienia! Przez dziesięć lat spełniałem kroplę po kropli z tego kielicha goryczy i modliłem się codziennie o szczęście twoje, ale Bóg okazał się, niestety, głuchym na prośby moje!

— Więc o cóż chodzi ojczusku? — zapytała dziewczyna spokojnie.

— Zostaniesz zupełnie ubogą — odpowiedział ojciec — cios, który nad nami zawisł, pozbawi nas nawet dachu nad głową, będziemy bowiem zmuszeni majątność naszą sprzedać i opuścić.

Ostatnie słowa, które były potwierdzeniem tego, co w piśmie owem wyczytała, odjęły Eleonorze na chwilę przytomność umysłu. Wnet jednak opanowała przerażenie i odezwała się odważnie:

— Ojczy mój, znam na wskroś szlachetną twoją duszę; wiem więc, że serce krwawi ci się nie dla tego, że nieszczęście to, o którym mówisz, ciebie spotyka, ale że cierpisz głównie dla tego, że ja mam dolę tę z tobą dzielić! Bądź błogosławiony, ojczy, za tę twoją ogromną miłość! Ale zapewniam cię, ojczy, że wszelkimi siłami starać się będę wynagrodzić ci to twoje głębokie przywiązanie i okazać ci, że godną jestem twego szlachetnego serca. Ale powiedz mi jeszcze jedno, ojczy, co uczyniłbyś, gdyby ci pozostawiono wybór pomiędzy Eleonorą, córką twoją jedyną, a wszystkimi skarbami Ameryki?

— Dziecko moje, jak możesz nawet pytać o coś podobnego! — westchnął szlachcic. — Czy oddaje kto życie własne za dobra i skarby? A życiem mojem jesteś... ty!

— Przysięgam ci, ojczy, że i ja nie opuściłbym cię nigdy, odezwała się Eleonora, — a ponieważ Pan Bóg zostawił tak tobie jak i mnie to, co mamy najdroższego oboje, więc nie mamy powodu narzekać. Nabierz odwagi. ojczy mój, cokolwiek bądź nas spotka, choćbyśmy mieli nawet zamieszkać odtąd w lichej chatce, nie poddamy się rozpacz, gdyż będziemy zawsze razem.

Zdziwienie i uwielbienie odbiły się na twarzy szlachcica. Nie mógł zrazu pojąć wzniosłych słów córki i składając ręce jak do modlitwy, zawołał:

— Eleonoro, dziecko moje najdroższe, czyś ty aniołem z nieba mi na pociechę zesłanym? Myśli płaczą mi się w głowie i nie mogę rozumem objąć wielkości twojej szlachetnej duszy.

Dziewczę uradowane, spostrzegło, że usiłowania jej pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, gdyż oczy ojca zabłysły odwagą, i ruchem, jak dawniej, dumnym podniósł swą piękną głowę do góry. Rzekała więc jeszcze z uniesieniem szlachetna dziewczyna:

— Ojczy drogi, ojczusku mój, uściskaj mnie! Precz ze smutkiem! Nie poddamy się rozpacz!

Ojciec i córka złączyli się serdecznym uściskiem, a gdy ramiona ich się rozplotły i oboje siedzieli obok siebie z dłonią w dłoni, twarze ich jaśniały tak błogim i radosnym uśmiechem, jak gdyby świat cały z wszystkimi troskami przestał być dla nich istnieć.

Po dłuższym milczeniu odezwał się pierwszy ojciec: — Czuję, że nowe życie i odwaga wstąpiły teraz do serca mego, i widzę, że złe postąpiłem, ukrywając przed tobą tak długo swą boleść, ale daruj mi to! Myślałem zawsze jeszcze, że ostateczne zło da się zażegnać, nie chciałem cię więc niepotrzebnie martwić. Nie znałem skarbu, jakim mnie Pan Bóg w osobie twojej uszczęśliwił

i nie rozumiałem dokładnie twej pięknej duszy; teraz nadeszła stanowcza chwila, gdyż ciosu odeprzeć już nie można żadnymi środkami. Czy możesz, dziecko moje, wysłuchać mojej spowiedzi od początku do końca?

Bez wahania odrzekła Eleonora:

— Ojcie drogi, powierz mi wszystkie swoje cierpienia, nie zataj niczego przedemną; całym sercem podzielę wszystko z tobą i zobaczysz, jakiej serce twoje dozna przez to ulgi.

Szlachcic ujął więc rękę córki i poważnym głosem zaczął:

— A więc podziel moje cierpienia i jak niegdyś Szymon Cyrenejczyk Zbawicielowi świata, tak teraz ty mi pomóż dźwigać krzyż mój! Nie zataję przed tobą niczego, wyjawię ci całą bolesną historię mego życia i moich długoletnich trosk. Dowiesz się też dla czego pan Deneker tak nieubłagany się wobec nas okazał.

Nie odwracając ani na chwilę oczu od pięknej twarzyczki dziecka swego, zaczął pan Vlierbecke swe opowiadanie:

— Byłaś jeszcze wówczas małą dziewczynką Eleonoro, już piękną i dobrą jak dziś, radością i dumą Twej matki. Żyliśmy wszyscy troje spokojnie i bez kłopotu w majątności naszej, odziedziczonej po przodkach, a dochody nasze pozwalały nam żyć wprawdzie nie zbyt kownie, ale przyzwoicie i dostatnio. Miałem jeszcze jednego brata, młodszego odemnie, do-

bręgo i uczciwego, ale i nierozważnego przytem człowieka; żył w mieście z żoną swą, która z dobrej szlacheckiej pochodziła rodziny, lecz równie niezamożną była jak i on. Nie wiem, czy stało się to pod jej wpływem, dość, że chcąc powiększyć swe szczupłe dochody, zaczął grać na giełdzie. Nie rozumiesz może co to znaczy; otóż jest to hazard, przez który można zarobić miliony, ale można też w jednej chwili dojść razem z żoną i dziećmi do żebraczego kija.

Z początku wiodło mu się dobrze i urządził też dom na wysoką skalę, tak, że nawet bogatsi poczęli mu szczęścia zazdrościć. Odwiedzał nas często, przywoził dla ciebie, która byłaś ulubienicą jego, różne podarki i okazywał nam zawsze wiele braterskiego przywiązania. Zwracałem mu nieraz uwagę na niebezpieczeństwo, na jakie się niepotrzebnie naraża, przedstawiałem mu, że dla szlachcica nieprzyzwoitem jest ryzykować majątek swój lekkomyślnie, ale, ponieważ dotychczas powodziło mu się na giełdzie dobrze, głos mój był głosem wołającego na puszczy, namiętność jego do gry czyniła go głuchym na wszelkie moje napomnienia.

Wreszcie jednak odwróciła się karta, szczęście poczęło go opuszczać, stracił większą część wygranych pieniędzy i majątek topniał coraz więcej, mimo to jednak tak był zaślepionym, że grał dalej, chcąc zmusić szczęście do powrotu.

Pewnego zimowego wieczora — drzę jeszcze teraz na samo wspomnienie o tem — znajdowałem się w jednym z dolnych pokojów i zamierzałem właśnie udać się na spoczynek, ty spałaś już, a matka twoja, jak zwykle, odmawiała modlitwy wieczorne przy twojem łóżeczku. Na dworze burza szalała, deszcz siekł w okna a wicher giał gałęzie drzew, tłukąc niemi o ściany domu... Nagle usłyszałem rzenie koni przed domem i w tej prawie chwili odezwało się gwałtowne dzwonięcie u bramy. Służący, gdyż wtedy mieliśmy jeszcze dwóch, otworzył drzwi i do pokoju wpadła jak szalona kobieta jakaś i rzuciła mi się do kolan. Była to żona mego brata! Drżąc z śmiertelnej obawy, chciałem podnieść ją z ziemi, lecz ona, zalana łzami, kurczowo oburącz ścisnęła mi kolana i błagała o pomoc. Słowa jej były bezładne, tak, że domyśleć się tylko mogłem, że chodziło o ocalenie jej męża. Weszła też i matka twoja i wspólnemi siłami udało się wreszcie uspokoić nieco oszalałą prawie kobietę.

Brat mój stracił wszystko, co posiadał, tak, nawet więcej jak to. Serce pękało z bólu, gdy się słuchało opowieści nieszczęśliwej kobiety — najokropniejszym był jednak koniec opowiadania. Brat mój w przeświadczeniu, że lekkomyślnością swoją zniestawił nieskalane dotąd nazwisko nasze i że sąd wmieścić się będzie musiał w jego sprawę, popadł w rozpacz i chciał popełnić samobójstwo. Żona jego, jakby wiedziona przecu-

ciem, w sam czas weszła do jego pokoju i wyrwała mu broń morderczą z ręki. Siedział tedy u siebie odrętwiały zupełnie i pilnowany przez dwóch przyjaciół, którzy nie odstępowali go ani na chwilę. Ja tylko jeden, jako brat, mogłem go wyrwać ze szponów rozpaczy.

Tego samego też zdania była nieszczęśliwa kobieta i dla tego też, mimo huku piorunów kazała zaprządz konie do powozu i pędziła do mnie co koń wyskoczy. Na klęczkach błagała mnie, abym z nią natychmiast udał się do miasta. Przez chwilę wahałem się, myśląc o żonie i dziecku, lecz święta matka twoja, równie jak ja przerażona, domyślając się o co mi chodzi, sama nagliła do wyjazdu i zawołała jeszcze, gdy już w powozie siedziałem: — Ocal go, mężu, o mnie nie myśl, cokolwiekbyś uczynisz, uznam za słuszne i sprawiedliwe!

Woźnica podciął konie i pędziliśmy wśród ciemnej nocy lotem błyskawicy. Ale ty drżysz, Eleonoro, tak, rzeczywiście okropne to było uczucie, a pamiątką smutną tej straszliwej nocy, to moje przedwcześnie posiwiałe włosy. Lecz posłuchaj odważnie do końca!

Eleonora patrzyła w twarz ojca przerażonym wzrokiem, a on ciągnął dalej:

— Zbytecznem byłoby opowiadać ci w jakim stanie zastałem brata mego, niech ci wystarczy, gdy ci powiem, że długo przedkładać mu musiałem, nim zdołałem troszkę chociaż rozjaśnić przy-

ćmiony jego umysł. Jeden tylko pozostał sposób ocalenia nieszczęśliwego — i to zastaw mego majątku za długi mego brata; wszystko musiałem poświęcić, posiadłość odziedziczoną po przodkach moich, posag twej matki, twoją schedę i to z tem przeświadczeniem, że stracę większą z tego połowę. Lecz tylko tą ofiarą bolesną mogłem ocalić cześć i życie mego brata i odwieść go od samobójstwa. Nie żądał tego wprawdzie odemnie i nie spodziewał się też takiej wspaniałości z mej strony, wiedziałem jednak dobrze, że jeśli nie ureguluję natychmiast jego smutnej sprawy, nie omieszka wykonać zbrodniczego swego zamiaru. Mimo to jednak wahałem się ciągle jeszcze.

— Jakto — zawołała przerażona Eleonora — mogłeś się jeszcze wahać, ojcze, wobec takiej ostateczności?

Błogi uśmiech spoczął na twarzy szlachcica; zamiast czuć się urażonym wykrzyknikiem córki, pódniósł głowę, oczy mu zajaśniały i silniejszym głosem prawił dalej:

— Eleonoro, wielkie miałem przywiązanie do brata mego, lecz stokroć więcej kochałem ciebie, jedyne dziecko moje, a to, co miałem uczynić, groziło ubóstwem matce twej i tobie...

— Boże, Boże! — westchnęła Eleonora w niecierpliwem oczekiwaniu.

— Myśl ta rwała mi serce na strzępy, z drgiej znów strony okropnym był widok rozpaczy

brata mego. Wreszcie zwyciężyła wspaniałość. Zaraz następnego rana poszedłem do najgłówniejszych wierzycieli brata mego i podpisałem akt, mocą którego cześć i życie jego ocalały, ale za to najdroższe mi w świecie istoty, ty i matka twoja, skazane zostałyście na niedostatek.

— Dzięki ci, Boże, — zawołała Eleonora z ulgą, jak gdyby ciężar spadł jej był z serca, — bądź błogosławiony, ojcze, za szlachetność swą i odwagę. — Podniosła się, objęła szyję ojca ramieniem i ucałowała go serdecznie i z powagą zarazem.

— Ty mnie błogosławisz za czyn mój, dziecko drogie, — rzekł szlachcic rozrzewniony — a przecież ja cię powinienem przeproszać.

— Nie potrzebujesz przeproszać mnie, ojcze — zawołała Eleonora w uniesieniu — gdybyś był inaczej postąpił, cierpiałabym nad tem, gdyż musiałabym wątpić o szlachetności ojca mego. Kocham cię teraz więcej jeszcze jak przedtem i czczę całą duszą. Czyż to zbrodnia ocalić jedynego brata, jeśli się ma środki po temu?

— Tak sądzisz, ty, szlachetne dziecko moje, lecz świat inne ma zapatrywania, nie przebacza szlachcicowi ubóstwa. Musi on pokutować za to, że przy braku pieniędzy herbem się pieczętuje, bez litości obrzucają go wzgardą i szyderstwem i uważają za niegodnego nazywać się szlachcicem. Szlachta unika go z obawy, aby nie żądał od

nich pomocy, mieszczanie i wieśniacy śmieją się z jego nieszczęścia, mszcząc się za wyższość stąrożytnego jego rodu. Ale posłuchaj dalej, dziecko moje!

— Brat mój został więc ocalony, a nikt nie domyślał się nawet, skąd tak szybka pomoc nadeszła. Opuścił wkrótce ojczyznę, udał się z żoną do Ameryki, i tam pędzi kłopotliwe życie, podczas gdy żona jego umarła w czasie podróży. My zostaliśmy zupełnie zrujnowani, posiadłość nasza przeciążona była hipotekami, oprócz tego byłem zmuszony od jednego przyjaciela, który pozostał mi wierny w nieszczęściu, pożyczyć na weksel 4000 franków. Matka twoja nie robiła mi żadnych zarzutów, lecz gdy ubóstwo zmuszało nas do odmawiania sobie najpotrzebniejszych nawet rzeczy, nieraz, umysł jej nie mógł znieść tego i poczęła gasnąć zwolna, ale coraz bardziej.

— Tak, straszne to były przejścia! Aby nie zdradzić właściwego stanu rzeczy i zachować nazwisko ojców naszych od wstydu, musieliśmy oszczędzać ogromnie li tylko na opłacenie procentów od naszych długów.

— Powoli pozbyliśmy się służby i koni; drogi do przyjaciół naszych trawą porosły, nie przyjmowaliśmy bowiem żadnych zaproszeń, aby nie potrzebować się za przyjęcia rewanzować. Ogólne powstało stąd na nas oburzenie, gdyż posądzono nas, że sknerstwem się rządzymy jedynie. Znośliśmy chętnie niesłuszne te zarzuty i wyraźną

nawet nienawiść sąsiadów, gdyż ułatwiało nam to znacznie pokrywanie naszej biedy.

— Ach, Eleonoro moja, serce ściska mi się w piersi, gdyż dochodzę do najboleśniejszej chwili mego życia. Nabierz odwagi, aby móżdżek wysłuchać i tego.

— Z niepokojem śledziłem matkę twoją i widziałem, że wychudła strasznie, oczy jej w głąb zapadły, i policzki zbladły, słowem bolesny przedstawiała dla kochającego serca widok. A ja, bezradny wobec cierpień tej, która, oprócz ciebie, najdroższą mi była na świecie, wobec wyrazu — śmierć, — wypisanego wyraźnie na ukochanej twarzy, szalałem prawie z rozpaczyny....

Eleonora płakała cicho, szlachcic spoglądał na nią smutnie i mówił dalej:

— Biedna matka twoja, patrząc na ciebie, łez powstrzymać nie mogła, rozmawiała ciągle prawie o twej przyszłości i modliła się o szczęście twoje. Wreszcie nadeszła ostatnia jej chwila, kapłan przygotował ją do ostatniej podróży, przez noc całą czuwałem sam jeden przy niej. Serce krwawiło mi się, rozpacz rozsadzała piersi.... Leżała już prawie martwa, a jeszcze z wysiłkiem szeptała imię ukochanego dziecka i łzy płynęły jej z oczu. Klęczałem przy łóżku jej i błagałem Boga o złagodzenie lub skrócenie jej cierpień. Niespodziewanie wróciła jej nagle przytomność, a był to już ostatni błysk dogasającej lampy jej życia. Zawołała mnie po imieniu i silniejszym

głosem przemówiła: — Umieram, mężu mój, i z żalem pozostawiam ci dziecko nasze, gdyż wiem, że nieszczęśliwe będzie w życiu!

— Nie wiem, co jej wszystko mówiłem, powodowany rozpaczą i miłością; to tylko pamiętam, że przysiągłem jej na Boga, że dziecko nasze, ty Eleonoro, biedy nie zaznasz i że szczęście ci wywalczę. Wtedy błogi uśmiech rozjaśnił twarz umierającej, uwierzyła mojej przysiędze, objęła mnie za szyję i pocałowała. Wkrótce potem ramiona opadły jej bezwładnie i z lekkim westchnieniem oddała Bogu ducha — ty, dziecko straciłaś matkę, a ja najlepszą żonę! . . . —

Szlachcic opuścił głowę na piersi i milczał, przytulona do niego siedziała, płacząc córka, i tak cisza głęboko zapanowała w pokoju. Długi czas siedzieli oboje pogrążeni w bolesnej zadumie, pierwsza zapanowała nad sobą Eleonora i najczulszemi pieśczołami starała się pocieszyć stroskanego ojca.

Pan Vlierbecke, chcąc jaknajprędzej skończyć swą bolesną opowieść, począł znowu mówić dalej.

— Słuchaj dalej, Eleonoro, to, co pozostaje mi jeszcze do powiedzenia, nie jest już tak bolesne, gdyż dotyczy tylko mojej własnej osoby. Możeby było lepiej zamilczeć o tem, lecz potrzebuję koniecznie współczującej duszy, któraby wiedziała co przecierpiałem i z czem tałem się przez ostatnich lat dziesięć.

— Matka twoja, ta jedyna moja podpora, pozostawiła mnie samego na obdłużonym majątku z tobą, jedynem dzieckiem mojem, i z moją przysięgą! — W jaki sposób miałem ślub uczyniony umierającej wypełnić? Miałemże sprzedać majątność, wynieść się w obce kraje i tam pracować na chleb dla nas obojga? Tego uczynić nie mogłem, gdyż przez to właśnie byłbym cię naraził na nędzę. Postanowiłem więc nadal utrzymywać pozory sknerstwa, byleby tobie na niczem nie zbywało. Życie moje i każda myśl moja należały teraz tylko do ciebie, życie swoje chciałem poświęcić kształceniu ciebie jedynie. Pan Bóg obdarzył cię pięknnością ciała, a ojciec twój wziął sobie za zadanie życia wzbogacić umysł twój w wszelkie wiadomości z dziedziny nauki i sztuki, w duszę wszczepić ci cnotę bojaźni Bożej i skromności, i cieszył się przytem nadzieją, że ród twój, piękność, skarby umysłu i serca zrównoważą brak majątku; pochlebiałem sobie, że wyjdiesz świetnie za mąż i tym sposobem zajmiesz stanowisko w towarzystwie, do jakiego uprawnia cię twe szlacheckie pochodzenie.

— Przez dziesięć lat uczyłem cię; czego zas sam nie umiałem, lub co wyszło mi już było z pamięci, tego douczałem się sam po nocach. Podczas gdy najtroskliwiej oddalałem od ciebie to, coby ci przykrość sprawić mogło; gdy na twarzy mojej tylko swobodny widziałś uśmiech, ja z śmiertelną obawą w sercu, rozmy-

ślałem o rozpacziwem naszym położeniu i liczyłem dni i godziny, które dzieliły mnie od ostatecznego końca. Ach, Eleonoro moja, teraz przyznam ci się, że głód cierpiałem nieraz i wychudłem z braku dostatecznego odżywiania. Noce spędzałam na sporządzaniu ubrania mojego, skopywałem sam ogród warzywny i oddawałem się przeróżnym pracom fizycznym, aby tylko przed oczyma twemi i sąsiadów ukryć nasze ubóstwo.

Eleonora z serdecznem współczuciem patrzyła na ojca, a łzy jak perły przeczyste spływały jej po policzkach; pan Vlierbecke uścisnął jej rękę i mówił dalej:

— Nie smuć się, Eleonoro, ciężkie wprowadzić ciosy zadawała mi ręka Boża, ale w nieprzebranem Swem miłosierdziu dała mi też i balsam na nie: każdy twój uśmiech budził w duszy mej wdzięczność ku Stwórcy — ty byłaś szczęśliwą, więc dotychczas nie zламаłem jeszcze ślubu!

— Wreszcie myślałem, że Pan Bóg w postaci Gustawa zesłał nam człowieka, który nas przed zgubą uchroni. Patrzyłem z radością na wzrastającą miłość waszą, dziecko moje, i miałem nadzieję, że dojdzie do szczęśliwego małżeństwa pomiędzy wami. Z chwilą jednak, gdy panu Denekerowi wyluszczyłem całą prawdę o naszym smutnem położeniu, prysła nadzieja moja jak bańka mydlana, gdyż bogaty kupiec odmówił Gustawowi pozwolenia na ślub z tobą. Jak

gdyby tego upokorzenia jeszcze było dla mnie za mało, dowiedziałem się prawie równocześnie, że przyjaciel, od którego swego czasu pożyczyłem owe 4.000 franków, umarł niespodzianie, a spadkobiercy jego żądają zwrotu tej sumy. Przebiegłem całe miasto, kołatałem do serc dawniejszych przyjaciół moich, poruszyłem niebo i ziemię, aby tylko nieszczęściu ostatecznemu zapobiedz, lecz wszystko daremnie. Może już jutro przylepią na drzwiach domu naszego pismo z oznajmieniem, że sprzedaną zostanie nietylko wieś nasza, ale nawet i całe urządzenie domu, wszystko, do czego przez życie całe przywykliśmy i cośmy serdecznie ukochali. Ambicja zmusza nas do tego, abyśmy oddali wszystko co posiada jakkolwiek wartość pieniężną, aby móżdż dojsć do jak najwyższej sumy; byłoby dla nas jeszcze pociechą w całym nieszczęściu, gdyby każdy z wierzycieli mógł odebrać to, co mu się należy. Ale dziecko, czy cię to nic nie martwi?

— Czy to tylko dręczyło cię, ojcze? Nie zataiłeś już niczego przede mną? — zapytało dziewczę.

— Wiesz już teraz wszystko, Eleonoro, nie zataiłem niczego!

— Przypuszczam, — odezwała się poważnie Eleonora, — że inni ludzie uważaliby utratę majątku za wielkie nieszczęście, cóż to jednak nam szkodzić może? Ale i ty, ojcze, zdajesz się już być spokojniejszym nieco!

— Dla tego, Eleonoro, że wlałaś w duszę moją odwagę i ufność, że kochasz mnie jak dawniej i że mogę spodziewać się, że cię cios nie przygnębi całkowicie. Wiem, co mi chcesz powiedzieć jeszcze, szlachetne dziecko moje, zesłane mi od Boga na pociechę w cierpieniu mojem. Więc zapewniam cię, że nie ugnę się pod obuchem losu i z poddaniem się spełnię wolę Bożą.

— Ale, — dodał smutno, — kto wie, co czeka nas jeszcze w życiu późniejszym! Tułaczka na obczyźnie, praca rąk na chleb powszedni, ach, ty, dziecko, nie doznałaś jeszcze, jak gorzkim jest chleb w ubóstwie! Dziewczyna posmutniała znowu, gdyż na twarz ojca powrócił dawniejszy wyraz przygnębienia, pochwyciła więc rękę jego i błagała:

— Ach, ojczu, rozchmurz twarz! Wierz mi, będziemy jeszcze oboje zadowoleni z życia i szczęśliwi! I cóż złego w ubóstwie? Jak wiesz, jestem biegłą w ręcznych robótkach tak dalece, że mogę uczyć innych. Będę zarabiała tyle, że starczy dla nas obojga i Bóg nam pomoże. Wyobraź sobie, ojczuszk, tylko: będziemy mieszkali w schludnej izdebce, sami zawsze, zawsze razem, złączeni miłością i wspólnem poświęceniem! Ach, zdaje mi się, że wtedy dopiero staniemy się prawdziwie szczęśliwymi! Czy możesz się jeszcze martwić, gdy Bóg tyle jeszcze nadzwyczajnego szczęścia nam daje?...

Pan Vlierbecke spoglądał na córkę z zachwyceciem, a łzy szczęścia płynęły mu po twarzy. Jedną ręką przytulił Eleonorę do siebie, drugą położył na głowie jej i z modlitwą na ustach patrzył w niebo, dziękując Bogu za skarb, jakim go obdarzył w postaci dziecka, tak szlachetnego.

VIII.

Jak pan Vlierbecke przepowiedział swej córce, tak się stało; po kilku dniach umieszczono w różnych gazetach ogłoszenia o wystawieniu majątku jego na publiczną sprzedaż; także czytać było można wiadomość tę na wszystkich narożnych domach w mieście i po wsiach okolicznych.

Sprawa ta poruszyła umysły sąsiadów. Każdy uważał bowiem szlachcica za bogatego skąpca, dziwiono się więc niezmiernie, co za nagły powód mógł spowodować katastrofę.

Jako przyczynę sprzedaży podano zamierzony wyjazd właściciela za granicę i gdyby z miasta nie była się rozniosła wieść, że pan Vlierbecke był zmuszonym pozbyć się dziedzictwa, aby zaspokoić wierzycieli, mało kto byłby się o prawdzie dowiedział. Rozprawiano już nawet o tem, co było początkiem jego nieszczęścia, t. j. o pomocy, udzielonej tak wspaniałomyślnie bratu młodszemu, lecz były to tylko przypuszczenia, pewności nikt bowiem nie miał.

Aby nie być narażonym na dawanie jakichkolwiek objaśnień ciekawym, odsunął się pan Vlierbecke jeszcze więcej od wszystkich. Niecierpliwie oczekiwał dnia sprzedaży, i chociaż zdawać się mogło nieraz, że zmoże go moralne cierpienie, dzięki perswazyom córki, nabierał zawsze jeszcze siły ducha i wyglądał straszliwego dnia z pewną nawet dumą.

W czasie tym otrzymał pan Vlierbecke list od Gustawa z Rzymu z dodatkiem dla Eleonory, w którym młodzieniec oznajmia, że miłość jego do ukochanej spotężniała jeszcze wskutek rozłąki i że jedyną jego pociechą jest nadzieja, że nadejdzie chwila, gdy połączyć będzie mu się wolno z ukochaną; zresztą nie zawierało pismo to nic pocieszającego, gdyż, jak żalił się Gustaw, dotychczas nie udało mu się jeszcze przełamać uporu wuja.

Ojciec przeczytał list obojętnie i odłożył na bok; nie taił przed Eleonorą, że najmniejszej nie ma nadziei co do możliwości połączenia się jej z Gustawem i że zalecałoby się zapomnieć o tem, co było, aby choć jednego pozbyć się kłopotu.

Eleonora przyznawała ojcu po trosze słuszość, gdyż pojmowała, że teraz wobec ogólnie znanego już ich ubóstwa mowy o szczęściu dla niej być nie może; cieszyło ją jednak przeświadczenie, że Gustaw zawsze jeszcze ją kocha i nad rozłąką cierpi.

Przechadzając się po cienistych alejach parku, powtarzała sobie nieraz czułe wyznania Gustawa i zatrzymywała się w tych miejscach, do których szczególniej drogie przywiązane były wspomnienia.

Na domiar złego otrzymał też pan Vlierbecke wiadomość o śmierci brata, który umarł na żłośliwą febrę niedaleko zatoki Hudson.

Przez kilka dni rozmyślał na strata, wnet jednak myśl jego powróciła do tego, co czekało jego wraz z dzieckiem w najbliższej przyszłości.

Nadszedł wreszcie dzień sprzedaży.

Już wczesnym rankiem zjechało mnóstwo ludzi, którzy wiedzeni bezmyślną ciekawością lub chęcią kupna, chodzili po wszystkich pokojach, oglądali sprzęty domowe i oceniali wartość poszczególnych przedmiotów.

Wszystkie drobniejsze przedmioty przeznaczone na sprzedaż, kazał nieszczęśliwy szlachcic poznosić do wielkiej dolnej sali z pomocą córki odświeżać i oczyszczać wszystko, aby jak najkorzystniej się przedstawiało i tem samem jak najwyższą osiągnąć mogło cenę; nie czynił tego jednak z myślą o sobie, lecz li dlatego, aby wierzyciele możliwie największe korzyści ze sprzedaży odnieść mogli.

Pomiędzy zebranymi przedmiotami znajdowały się też dwa łóżka z pościelą i różne części ubrania tak pana Vlierbecke jak i Eleonory, z tego wnosić można było, że nie zamierzali tu już przenocować.

Eleonora schroniła się do mieszkania dzierżawcy i tam zamknąwszy się w osobnym pokoju, czekała aż się wszystko uspokoi.

O godzinie dziesiątej, w sali, w której aukcja odbyć się miała, ścisk był niestychany. Widzieć tam można było przedstawicieli szlachty okolicznej i wystrojone panie obok brudnych tandeciaży i drobnych kramarzy, którzy przybyli z miasta w nadziei zrobienia dobrego interesu; tu stała gromadka włościan, rozprawiających o nie-szczęściu, jakie spadło na pana Vlierbecke, tam znowu byli tacy, którzy śmiali się i żartowali, aż dopóki notaryusz głosem donośnym nie rozpoczął odczytywania spisu wystawionych na sprzedaż rzeczy.

Po upływie kwadransu rozpoczęto licytowanie.

Na stole stanął stróż, aby głos jego lepiej słyszeć można było, i wymieniał poszczególne przedmioty. Właśnie począł notaryusz zachwalać piękność starożytnej szafy, gdy do sali wszedł pan Vlierbecke i przecisnąwszy się z trudem pomiędzy zgromadzonymi, stanął obok stołu.

Ukazanie się jego wywarło na obecnych silne wrażenie, głowy pochylały się ku sobie, poczęto szeptać i z bezczelną ciekawością, mało zaś ze współczuciem, przyglądać mu się; większa jednak część widzów stała bezmyślnie patrząca lub szyderczo uśmiechnięta.

Zachowanie się jednak niedelikatne zmieniło się wnet. Poważne, blade oblicze szlachcica wzbu-

dziło mimowolny szacunek, zubożał wprawdzie, ale z pogodnego jego spojrzenia wyzierała dusza, która nie ugięła się pod obuchem losu i nie straciła nic z swej wielkości i szlachetnej dumy.

Kilku z okolicznej szlachty, których dawnymi czasy łączyła przyjaźń z ojcem Eleonory, zbliżyło się do niego, chcąc porozmawiać o jego nie-szczęściu, lecz on tak zręcznie umiał uchylić się od ich kondolencji i tak spokojnie z nimi rozmawiał, że nie śmieli wyrażać mu współczucia. W postawie jego, uśmiechu i całym zachowaniu się, tyle mieściło się godności i pewności siebie, że nawet nieprzyjaźnie usposobieni szanować i podziwiać go musieli.

Oblicze pana Vlierbecke było wprawdzie spokojne, w spojrzeniu jego malowało się poczucie osobistej wartości i siły, lecz duszę jego szarpał ból szalony. Wszystko, co niegdyś było własnością przodków jego, przedmioty ozdobione herbem jego rodziny, które przechowano jak świętość z pokolenia do pokolenia, wszystko to widział teraz w rękach tandeciarzy, nabyte przez nich za marną cenę. Przesunęła mu się w pamięci cała zaszczytna historja rodu jego i miał uczucie, jak gdyby z każdą sprzedaną rzeczą odrywano mu zarazem po kawale krwawiącego się serca.

Pod koniec sprzedaży zaczęto zdejmować ze ścian portrety zasłużonych mężów, najpierwszy uległ smutnemu losowi ów bohater z St. Quentin, dostawszy się handlarzowi starożytności za 3 franki.

W sprzedaży obrazu tego i w śmiesznie niskiej ocenie jego, tyle mieściło się lekceważenia i szyderstwa, że pan Vlierbecke, który dotychczas dzielnie utrzymywał równowagę umysłu, teraz spuścił oczy i silnie wzruszony opuścił salę, aby nie być obecnym dalszemu znieważaniu jego relikwi rodzinnych.

* * *

Dzień zbliżył się już ku schyłkowi i słońce, dążące do zachodu, niedługo zakończyć miało swą dzienną wędrówkę.

Naokół starego dworu cisza grobowa; żywej duszy nie widać na ścieżkach ogrodu, brama zamknięta, wszędzie cicho i spokojnie.

Naraz otwierają się drzwi mieszkania pana Vlierbecke; na progu ukazują się dwie osoby, postarzały mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje trzymają węzełki w ręce i zdają się być przygotowani do podróży.

Trudno rozpoznać w tych ubogo odzianych, ludziach szlachcica i córkę jego, jednakże oni to są rzeczywiście.

Eleonora ubrana jest w suknię z ciemnego perkalu, na głowie ma czepeczek, na szyi chusteczkę, kędziórów jej nie widać, albo więc ukryła je pod czepeczkiem, lub też ucięła zupełnie.

Biedny szlachcic ma na sobie czarny, aż pod szyję zapięty surdut, a na głowę włożył czapkę z szerokim daszkiem, który mu twarz prawie zupełnie zasłania.

Mimo to jednak nie ujmował ubogi strój wdzięku szlachetnym ich postaciom i chociaż starali się zewnętrznym wyglądem nie zdradzać swego pochodzenia, każdy, spojrzawszy na nich uważniej, łatwo poznać mógł, że lepsze pamiętać musieli czasy.

Oblicze ojca spokojne jest, także i Eleonora nie okazuje wzruszenia, choć serce pęka jej z bólu, że pożegnać musi wszystko, co drogiem jej było od lat dziecińczych, te drzewa, w których cieniu zrodziła się w jej sercu miłość do Gustawa, ten piękny krzak katalpy, pod którym Gustaw miłość jej swą wyznał. Aie musi zapanować mężnie nad własnym bólem, aby dodawać otuchy nieszczęśliwemu ojcu, musi stać na straży serca jego i swobodą i pieszczotą odpędzać od niego rozpacz i zniechęcenie. Dla tego też spojrzeniem jasnym i łagodnym spogląda w oczy ojca.

Wolnym krokiem zbliżają się ojciec z córką do mieszkania dzierzawcy i wchodzi, aby pożegnać się z nim i jego rodziną. Zastali w izbie gospodynią domu z dziewczką służebną.

— Matko, — odezwał się uprzejmie szlachcic — przychodzimy się z Wami pożegnać.

Kobieta spojrzała na nich trwożliwie, na ich ubogie odzienie i zakrywszy oczy fartuchem, wybiegła z izby; służąca zaś, oparła głowę o ramę okna i łkała głośno, tak, że Eleonora uspokajając ją musiała. Za chwile powróciła pocziwa kobieta z mężem, którego odwołała od pracy w stodole.

— A więc doszło rzeczywiście do tego, panie Vlierbecke, że opuszczacie nas i nie zobaczymy się więcej, — przemówił z żalem dzierżawca.

— Pocziwa matko Elźbieto, — zwrócił się szlachcic do kobiety, — nie płaczcie, widzicie przecież, że znosimy los nas z poddaniem się woli Bożej.

Wieśniaczka podniosła głowę, lecz gdy spojrzenie jej padło na ich ubiór ubogi, ponownym zaniosła się płaczem.

Mąż jej stał chwilę milczący, jakby rozmyślając nad czemś, wreszcie zdobył się na odwagę i odezwał się do szlachcica:

— Panie Vlierbecke, chciałbym chętnie pomówić z panem na osobności!

Pan Vlierbecke poszedł więc z nim do drugiego pokoju, którego drzwi wieśniak starannie zamknął, i odezwał się nieśmiało:

— Wielmożny panie, nie wiem doprawdy, jak mam wyrazić mą prośbę, i naprzód proszę o przebaczenie za śmiałość moją, jeśli bym pana miał obrazić.

— Mówcie śmiało i szczerze, co macie na sercu — zachęcał go szlachcic z dobrotliwym uśmiechem.

— Widzi pan, — jękał wieśniak zaambarasowany — wszystko, co posiadam, zawdzięczam panu jedynie. Gdy poślubiłem moją Elźbietę, nie miałem żadnego majątku, a pan oddałeś mi wspaniałomyślnie dzierżawę tę za małą

opłatą. Z Bożą pomocą i pod pańską opieką wiodło nam się dobrze. Teraz wy, dobrodzieje nasi, popadliście w nieszczęście i opuszczacie nas, udając się, nie wiedząc w jaką stronę może na ubóstwo i nędzę. Tego znieść spokojnie nie możemy, gdyż sumienie dręczyłoby nas dzień i noc. Wszystko zatem, co posiadam, stawiam państwu do rozporządzenia...

Pan Vlierbecke, silnie wzruszony, uściśnął z wdzięcznością rękę wieśniaka i odpowiedział:

— Jesteś szlachetnym człowiekiem i cieszę się, że stałem wam się kiedyś użytecznym, lecz zachowaj dla siebie to, co zdobyłeś sobie uczciwą pracą w pocie czoła. Nie kłopotcie się o nas, z Bożą pomocą stworzymy sobie skromny, lecz znośny byt,

— Panie, — zawołał jeszcze wieśniak błagalnie, — nie odrzucaj mojej pomocy.

Otworzył szufladę i wyjął z niej garść srebrnej monety.

— Patrz pan, to ani nie setna część tego, co ci zawdzięczamy. Zrób mi pan tę łaskę i przyjmij wspaniałomyślnie moje pieniądze, a jeśli choć jeden kolec cierniowy usunę wam tym sposobem z drogi, Bogu dziękować będę z całego serca.

Łzy wdzięcznego rozrzewnienia stanęły w oczach pana Vlierbecke, lecz pozostał niewzruszony.

— Dzięki ci, drogi przyjacielu, — rzekł — lecz wierzaj mi, że w żaden sposób przyjąć twej ofiary nie mogę. Pójdźmy już stąd!

— Powiedz mi pan przynajmniej, dokąd się udać zamierzacie, — prosił jeszcze wieśniak.

— Nie mogę ci powiedzieć, gdyż sam jeszcze nie wiem, — odpowiedział szlachcic, — a choćbym nawet wiedział, nie powiedziałbym ci dla ważnych powodów.

Z temi słowy wszedł już do pierwszej izby. Tutaj zastał wszystkich, nawet i Eleonorę we łzach. Młoda dziewczyna objęła ramieniem szyję Elżbiety, która, płacząc, rękę jej z uniesieniem całowała. Pan Vlierbecke, chcąc zakończyć tę bolesną scenę, przemówił kilka słów do córki, nagłąc do drogi; raz więc jeszcze uściśniono sobie ręce, ojciec i córka podjęli swoje węzłki i przeszli most, udali się drogą przez pola... w świat.

Długo patrzyli za nimi pozostali, aż wędrowcy zniknęli im zupełnie z oczu.

Pan Vlierbecke szedł spokojnie aż do lasu sosnowego, o którym wiedział, że idącemu dalej ojcowiznę straconą całkowicie przed oczyma zastłoni.

Tam więc stanął, obrócił się raz jeszcze i ostatniem spojrzeniem, w którym całą swą duszę umieścił, żegnał ten dom, w którym stała przodków jego i jego własna kołyska.

Po drzeniu jakie wstrząsało ciałem ojca, poznała Eleonora co dźiać się musiało w jego sercu, nie ośmieliła się jednak przerwać ostatniego jego pożegnania z gniazdem rodzinnem.

Wreszcie, gdy dwie łzy srebrzyste potoczyły mu się po policzkach, Eleonora przytuliła się

do piersi jego, zcałowała łzy te i przemocą prawie pociągnęła go w las.

Wnet zniknęli na drodze, która szarą wstęgą wiała się wśród bujnej zieleni drzew lasu.

IX.

Zaledwie tydzień minął od odjazdu szlachcica i córki jego, gdy nadszedł znowu list Gustawa z Włoch. Listonosz dowiadywał się u dzierżawców o obecnem miejscu zamieszkania dawniejszego właściciela majątku, lecz nie umiano go objaśnić i nikt, nawet i notaryusz, nie wiedział, dokąd udali się nieszczęśliwi tułacze.

List przechowano tedy spokojnie wraz z kilku następniemi na poczcie i przestano myśleć o losie szlachcica, jedynie tylko dzierżawca wypytywał znajomych okolicznych, czy nie widzieli dawniejszego jego pana, nigdy jednak nie odebrał zadowalniającej odpowiedzi.

.....

Tak minęły może cztery miesiące, gdy pewnego dnia elegancki pojazd zatrzymał się przed mieszkaniem notaryusza. Wysiadł z niego młodzieniec w podróżnym ubraniu i wbiegł do domu.

— Czy zastałem pana notaryusza u siebie? — zapytał szybko służącego, na co lokaj wprowadził go do pokoju i poprosił, aby zechciał odpocząć, gdyż pan jego chwilowo zajęty, za kilka minut będzie mógł dopiero służyć.

Młodzieniec zdawał się być bardzo niecierpliwym, to siadał, to wstawał znowu, wreszcie podniósł głowę, jakby otrząsnąć się chciał z dręczących myśli i odezwał się sam do siebie:

— Boże, jak spieszno mi do mojego szczęścia! Jak słodką jest pewność, że zobaczę ją jeszcze dzisiaj, że wynagrodzić ją będę mógł za jej wierną miłość i pocieszyć po sześciomiesięcznej rozłące następnymi słowy: Eleonoro, ukochana narzeczono moja, patrz, oto na piśmie mam pozwolenie wuja na nasz związek. Przyнося ci w darze bogactwo, miłość i szczęście! Mam silną wolę rozweselić starość ojca twego i żyć z wami obojgiem jak w raj!... O ukochana moja, pójdź w moje objęcia i pozwól ucałować się swemu przyszłemu mężowi, gdyż teraz żadna moc ludzka nie rozłączy już nas! O pójdź do mnie, niech ojciec twój otoczy nas wspólnym uściskiem jako kochające dzieci swoje! Czuję, że żyć będziemy odtąd jedną myślą, jednym pragnieniem i jedną miłością!... O Boże, dzięki Ci, dzięki!

Nie mogąc zapanować nad niecierpliwością, porwał się z krzesła i chodził nerwowo po pokoju.

Za chwilę popadł znowu w zadumę; teraz dopiero przyszło mu na myśl, dla czego wszystkie listy jego pozostały bez odpowiedzi.

— Czyżby Eleonora?... Ależ nie — wykrzyknął sam do siebie — to niemożliwe. Eleonora

nie mogłaby o mnie zapomnieć, wszakżeż przy pożegnaniu powiedziała mi, że miłość nasza wieki przetrwa, a ona do kłamstwa niezdolna. Czy serce jej mogłoby złamać wiarę? Precz z takimi myślami, bo to bluźnierstwo!

Zaledwie Gustaw wyrzekł te słowa, do pokoju wszedł z uroczystą powagą notaryusz. Poznawszy jednak Gustawa, gdyż to on był tym gościem, uśmiechnął się natychmiast przyjaźnie i z wyciągniętymi do powitania rękoma zawołał:

— Witaj, witaj, panie Gustawie, jakże się cieszę, że widzę pana u siebie. Z pewnością ważne będziemy mieli do załatwienia sprawy, i wdzięczny panu jestem za okazane mi zaufanie. Jakże stoi sprawa spadku po wuju pańskim? Czy pozostawił testament?

Gustawowi przykreść sprawiło to pytanie. Kochał bowiem wuja i szczerze bolał nad śmiercią jego. Wyjął z kieszeni papier i podał go pytającemu. Notaryusz, którego bystremu oku nie uszło wzruszenie młodzieńca, odezwał się natychmiast:

— Szczerze współczuję z panem z powodu śmierci wuja, gdyż, jak panu wiadomo, zaszczycał mnie zawsze bezgranicznym zaufaniem i przyjaźniliśmy się już od lat. Wielka to dla pana strata, lecz cóż począć, każdego z nas śmierć rychlej lub później spotka. Musimy pogodzić się z myślą, że wszyscy śmiertelnymi jesteśmy... Wuj kochał pana bardzo, spodziewam się też, że

pamiętał o panu w swem ostatnim rozporządzeniu.

— Proszę przekonać się, do jakiego stopnia wuj o mnie myślał — rzekł Gustaw, kładąc papiery na stół.

Adwokat przeczytał i zdziwienie odbiło się na jego twarzy. Gustaw siedział tymczasem ze spuszczoną głową, zaledwie mogąc opanować niecierpliwość. Po dłuższej chwili powstał notaryusz z krzesła i tonem pełnym szacunku odezwał się do młodzieńca:

— Niech mi będzie wolno powinszować panu, panie Deneker, zapis jest prawomocny i nienaruszalny. Jesteś pan uniwersalnym spadkobiercą i właścicielem przeszło miliona! Czy wiesz pan o tem?

— O tem pomówimy później, dziś mam do pana jedną prośbę.

— Służę panu!

— Czy pan prowadzisz sprawę majątkową pana Vlierbecke?

— Tak jest, prowadzę.

— Przez wuja mego dowiedziałem się, że pan Vlierbecke podupadł majątkowo zupełnie, pragnąłbym zatem przyjść mu z pomocą!

— Jak widzę, chcesz pan być wspaniałomyślnym, bardzo to szlachetnie. Znam okoliczności, które spowodowały upadek jego majątkowy i mogę panu powiedzieć, iż stał się pan Vlierbecke ofiarą swej przesadzonej uczciwości.

Był troszkę lekkomyślnym, to prawda, ale zasłużył rzeczywiście na inny los.

— Proszę, powiedz mi pan, coby dla niego uczynić można, nie raniąc naturalnie jego dumy. Znajduje się podobno w rękach spadkobierców pana Hogebaen weksel jego na 4000 franków, chciałbym nabyć weksel ten za jakąkolwiek cenę.

Notaryusz patrzył na młodzieńca zdziwiony niezmiernie, nie mogąc słowa przemówić.

— Dla czego zadziwia to pana? Przestraszasz mnie pan milczeniem swoim!

— Nie pojmuję przestachu pana — odpowiedział wreszcie adwokat — lecz obawiam się, że zmartwi pana wiadomość, której panu udzielić muszę. Żałuję pana z całego serca!

— Boże, mów pan wyraźniej — zawołał przerażony Gustaw — czy śmierć nawiedziła dom pana Vlierbecke? Czy zagasł dla mnie już ostatni promyk nadziei?

— Nie o to chodzi — przerwał mu pospiesznie notaryusz. — Bądź pan co do tego spokojny, ale spadło na nich wielkie nieszczęście.

— Mówże pan prędzej — naglił młodzieniec, drżąc cały.

— A więc dowiedz się pan, że weksel ów był płatny podczas nieobecności pańskiej w kraju. Pan Vlierbecke starał się przez kilka miesięcy o pieniądze na pokrycie tej sumy, lecz daremnie, a ponieważ miał jeszcze długi hipoteczne, zdecydował się, aby uniknąć wstydu przymusowej

sprzedaży, na sprzedaż z wolnej ręki nietylko ziemi, ale i całego urządzenia domu, aby tylko zaspokoić wierzycieli. Sumą, tym sposobem osiągniętą, zdolano umorzyć zaledwie długi, dla niego samego nie pozostało prawie nic.

— Czy mieszka teraz jako lokator w dziedzictwie swoim?

— Bynajmniej, opuścił je z córką zaraz po sprzedaży.

— Czy możesz mi pan powiedzieć, dokąd się udał? Muszę się z nim zobaczyć dzisiaj jeszcze — i to koniecznie.

— Nie wiem zupełnie, gdzie się pan Vlierbecke obecnie znajduje.

— Co, nie wiesz pan?

— Ani ja, ani nikt nie wie; oddalił się stąd z córką, nie zdradziwszy przed nikim zamiarów swoich.

— Na Boga, co pan mówisz? — krzyknął Gustaw w najwyższym wzburzeniu. — Czy jeszcze dłużej mam żyć z dala od niej! I to nie wiedząc nawet, co się z nią stało! Straszna obawa o nich mnie dręczy! Rzeczywiście nikt nie może mi powiedzieć, gdzie mieszkają?

— Nikt — odpowiedział notaryusz. — Zaraz po sprzedaży oddalili się pieszo. Od tego czasu starałem się kilkakrotnie zasięgnąć o nich jakichkolwiek wiadomości, ale bezskutecznie.

Wiadomość ta przygnębiła ogromnie młodzieńca; zbladł i zakrył rękoma oczy, chcąc za-

ślonić łzy, które z nich płynęły. To, co usłyszał o nieszczęściu pana Vlierbecke, nie było dla niego wielką nowością, gdyż był już na to poniekąd przygotowanym od dość dawna, lecz trwogą śmiertelną przejmowała go myśl, że Eleonora znosi niedostatek.

Notaryusz spoglądał przez chwilę ze współczuciem na młodzieńca, wreszcie odezwał się:

— Młody jesteś, panie Deneker, i zwyczajem młodych przesadzasz każde uczucie. Rozpacz pana jest tymczasem jeszcze nieuzasadniona, za pieniądze można łatwo w obecnych czasach dowiedzieć się o pobycie jakiejś osoby i jestem przekonany, że w przeciągu kilku dni dowiemy się też i o panu Vlierbecke czegoś pewnego. Jeśli zlecisz mi pan tę sprawę, nie będę szczędził trudu ni czasu, aby pana zadowolnić.

Gustaw uściśnął z wdzięcznością rękę notaryusza i rzekł swobodniejszym już nieco tonem:

— Wyświadczyłybyś mi pan tem wielką przysługę. Nie szczędź pan pieniędzy, porusz niebo i ziemię, jeśli będzie potrzeba, bylebyś się tylko mógł dowiedzieć, co się z nimi stało. Nie uwierzylibyś pan, jak przykrą mi jest niepewność.

— Jeszcze dziś zajmę swych ludzi pisaniem listów wywiadowczych o panu Vlierbecke, a jutro pojedę do Brukseli zawezwać pomocy władz państwowych. Ponieważ nie chodzi panu o koszt, więc wszystko pójdzie jak z płatka.

— Ja wyzyskam też rozległe stosunki naszej firmy z zagranicą, aby dowiedzieć się czegokolwiek, choćbym nawet miał odbywać dalekie podróże.

— Nie trać więc pan nadziei, panie Deneker — powiedział na to notaryusz — nie wątpię, że w krótkim czasie dowiemy się czegoś pewnego. Wiem wprawdzie, że nie mam prawa wglądania w zamiary pańskie i nie wątpię bynajmniej, że są szacunku godne, lecz możebyś mnie pan zechciał objaśnić, czy postanowiłeś pan poślubić pannę Eleonorę?

— Tak jest, postanowiłem — odparł młodzieniec.

— Czy to niezachwiane pańskie postanowienie? — powtórzył pytanie adwokat. — Obowiązkiem moim bowiem, jako notaryusza i doradcy zmarłego wuja pańskiego jest zwrócenie uwagi pana na to, co uczynić zamierzasz. Jesteś pan milionerem i nosisz nazwisko, które w świecie handlowym drugie tyle jest warte, pan Vlierbecke zaś nie posiada nic zgoła; ubóstwo jego jest publiczną tajemnicą, a opinia świata skazuje zubożonego szlachcica, choć przyznaję, że niesprawiedliwie, na wstyd i szyderstwo. Z majątkiem swym, młodością i urodą, możesz pan śmiało starać się o rękę jakiej bogatej dziedziczki i podwoić ożenkiem swoją fortunę.

Gustaw słuchał z widoczną niecierpliwością słów notaryusza, wreszcie przerwał mu słowami:

— Dziękuję panu za dobrą radę, mówisz, jak ci obowiązek nakazuje, lecz przejdźmy teraz do czego innego. Powiedz mi pan, kto kupił majątek pana Vlierbecke?

Notaryusz niezadowolony, że mowa jego pożądanego nie wywarła skutku, odpowiedział:

— Widzę, że postanowienie pana jest niewzruszone, rób więc pan, co uważasz za stosowne. Właściciele pieniędzy hipotecznych zatrzymali wieś.

— A kto mieszka we dworze?

— Dwór jest niezamieszkały tymczasem; na czas zimowy nie chciano się tam dotąd przemieszczać.

— Czy możnaby nabyć tę majątność od obecnych właścicieli?

— Naturalnie, mam nawet polecenie sprzedać ją za cenę hipotek.

— A więc ja kupuję — zawołał Gustaw — proszę, oznajmij pan to bezzwłocznie właścicielom.

— Jak pan sobie życzy, tak będzie, panie Deneker; uważaj pan więc już dobra te za swą własność od obecnej chwili. W razie, gdybyś pan zechciał obejrzeć dwór wewnątrz, znajdziesz pan klucz u dzierżawcy.

Gustaw wziął kapelusze i pożegnał adwokata słowami:

— Zmęczony jestem ogromnie podróżą i wrażeniami, muszę koniecznie odpocząć. Do widzenia, panie notaryuszu; bądź pan łaskaw jak naj-

prędzej wywiązać się z danej mi obietnicy, a nie pożałujesz pan tego. Do widzenia, do jutra!

— Z ciężkiem sercem opuścił Gustaw notariusza, aby samotnie rozmyślać nad ciosem, jaki dotknął ukochaną jego dziewczynę.

X.

Już dość dawno ziemia otrząsnęła się z zimowej martwoty, aby powstać do nowego życia; dawniejsze dziedzictwo pana Vlierbecke pyszni się jak za dawniejszych lat, swą dziką pięknnością; wspaniałe dęby pokryte są gęstem liściem, w powietrzu pełno orzeźwiającej woni; ptactwo i chrabąszcze uwijają się wśród delikatnej zieleni krzaków a słońce łagodnymi promieniami pieści niedawno rozwinięte listeczki.

Z pozorów pozostało wszystko po dawnemu, w ogrodzie i w parku ta sama cisza, tylko około domu więcej ruchu i życia. Na podwórzu dwaj parobcy polewają wodą piękny powóz i oczyszczają go z błota i kurzawy, podczas gdy od strony stajni dochodzi rzenie koni i uderzanie kopyt końskich; na progu domu zatrzymała się dziewczka służebna i żartuje z parobkami.

Nagle rozlega się głos dzwonka, dziewczyna znika w głębi domu ze słowami:

— Boże, pan żąda śniadania, a jeszcze nie przygotowane.

Wnet jednak idzie już do górnej sali z kosztowną tacą, zastawioną śniadaniem i stawia ją

na stole przed panem, który siedzi zamyślony, z głową opartą na dłoni.

Dziwne jest umeblowanie tego pokoju, niektóre przedmioty odznaczają się bogactwem i wyszukaną elegancją, inne zaś np. fotele i szafy z ciemno-brunatnego drzewa i bardzo pięknego wykonania, wielu pokoleniom już widocznie służyć musiały. Na ścianach wiszą starożytne obrazy, których złoczone ramy pod wpływem kurzu i czasu połysk już dawno straciły — to portrety wojowników, dyplomatów, opatów i prałatów z rodu Vlierbecke.

Wiemy, że na aukcyi wszystko, co było własnością szlachcica, dostało się w ręce najrozmaitszych ludzi. Jakimże więc sposobem powróciło znowu na te miejsca, które, zdawało się wówczas, że porzuciło na zawsze?

Młody człowiek podnosi się z krzesła, przechodzi wzdłuż sali, spoglądając smętnym wzrokiem na portrety i zbliża się do małego stoliczka w narożniku sali. Otwiera szkatułkę, w staroświeckim guście, i wyjmuje z niej kilka małej wartości ozdób kobiecych, jak parę złotych kolczyków i bransoletkę koralową. Przedmioty te ogląda ze czcią nieledwie, westchnienie dobywa mu się z piersi, chowa je napowrót do szkatułki i opuszcza salę.

Schodzi na podwórze, witany z uszanowaniem przez parobków i znika następnie w najciemniejszych ścieżkach ogrodu.

Zatrzymuje się u stóp rozłożystego kasztana, krzyżuje ręce na piersiach i mówi sam do siebie:

— Tu właśnie w tem miejscu, ukochana moja z rumieńcem na cudnej twarzy wyszeptala mi rozkoszne wyznanie miłości — a ja drżałem przerażony ogromem mego szczęścia. — Ty, olbrzymie, którego liście tak często słyszały słodki jej głos, który byłeś świadkiem naszego krótkiego szczęścia, ty stoisz teraz wspaniały i dumny w swej zielonej szacie, lecz u stóp twoich niema szczęścia i wesela; rozlega się tylko skarga zbolełego serca, zresztą smutno i pusto. Ta, która królować tu powinna, odeszła w świat. Odszedł anioł, który jednym słowem zamienić mógł miejsce to w raj ziemski, który rozłaczał naokół siebie radość i szczęście, tak jak słońce światu nadaje światło i ożywcze ciepło. Ach, opuścił nas duch miłości i pozostawił po sobie tylko wspomnienie!

Po chwilowym odpoczynku, zwrócił się w inną stronę i zniknął wśród krzewów. Co chwilę zatrzymywał się w innym miejscu, wybierając takie, które mu szczególnie drogie były; przy brzegu sadzawki patrzył zamyślony na igrające w wodzie złote rybki, rozmiłowanem spojrzeniem obrzucał grządki gwoździków, które Eleonora zawsze taką troskliwością otaczała. Tak obszedł kolejno wszystko, co ona kiedyś znała i lubiła, aż wreszcie znużony spoczął pod krzakiem katalpy. Siedział w bolesnej zadumie, aż nie przerwała mu

jej żona dzierżawcy, zbliżywszy się z książką jakąś w rękę.

— Oto książka, panie — rzekła ucieszona — którą zwykle czytywała panna Eleonora. Mąż mój poznał wczoraj na targu mężczyznę, który kupił ją na aukcyi, i nabył ją od niego. Może to być książka bardzo piękna, ale gdyby nie pochodziła od naszej panienki, nie wzięłabym jej do ręki, bo nazywa się: «Lucyfer».

Młodzieniec wziął książkę z rąk kobiety, przewracając karty i nie zważając, co mu prawila. Wreszcie spojrział na nią i podziękował uprzejmie:

— Wdzięczny jestem za grzeczność waszą, matko Elżbieto; nie umiem wam wypowiedzieć, jaką radość sprawia mi każdy, choćby najdrobniejszy ślad po dawniejszej waszej pani. Możecie być pewni, że odwdzięczę wam się za pamięć waszą sowicie.

Chciał przeglądać książkę dalej, lecz kobieta nie myślała się oddalić i zapytała go jeszcze:

— Czy nie otrzymał pan jeszcze żadnej wiadomości o naszej panience?

Gustaw smutnie potrząsnął głową i odpowiedział:

— Nic nie wiem dotychczas, wszelkie poszukiwania spełzły na niczem!

— To okropnie, — biadała kobieta — Bóg jedyny wie, gdzie się biedaczka obraca teraz i co cierpieć musi. Odjeżdżając, mówiła mi, że będzie pracowała na utrzymanie ojca i siebie, ale do

pracy na chleb trzeba być przyzwyczajoną od dzieciństwa... Serce mi się kraje. gdy pomyślę, że nasza panienka, taka delikatna, służyć musi innym, aby zarobić na życie. Ja także służyć musiałam dawniej, wiem więc, co to znaczy od rana do nocy znosić grymasy i wymaganie chlebobodawców, a ona przytem taka miła, taka wykształcona i taka śliczna! Okropność!

Pani Jans zaczęła płakać rzewnie, również i Gustaw łez powstrzymać nie mógł. Po chwili mówiła dalej!

— I to teraz właśnie, gdy mogłaby być szczęśliwą jako pani tutaj, gdzie urodziła się i wychowała, gdy pan Vlierbecke mógłby żyć spokojnie i bez troski, teraz właśnie tułać się muszą gdzieś wśród obcych. Boli niezmiernie, gdy się wie, że dobroczyńcy nasi są w biedzie, a pomódz im w niczem nie można.

Bezwiednie poruszyła poczciwa kobieta najdrażliwszą strunę w sercu swego pana i teraz dopiero spostrzegła, że twarz miał łzami zalaną i ręce rozpaczliwym ruchem załamane. Z pewną więc obawą odezwała się jeszcze:

— Wybacz, że cię mimowoli tak boleśnie zraniłam, ale musiałam koniecznie ulżyć cokolwiek swemu sercu. Jeśli źle postąpiłam, to proszę mi wybaczyć ze względu na to, że kocham naszą panienkę całym sercem i porówno z panem nad jej nieszczęściem płaczę. — Czy ma pan dla mnie jakie rozkazy?

Chciała oddalić się już, gdy młodzieniec odpowiedział wzruszony:

— O cóż miałbym się gniewać na was, czy o to, że kochacie Eleonorę? Owszem, wdzięczny wam jestem za to. Łzy sprawiają mi ulgę; przyznaję, że cierpię okropnie i życie mi już zbrzydło; gdyby mnie Pan Bóg chciał teraz powołać do siebie, umarłbym z ochotą. Znikła już dla mnie nadzieja zobaczenia się z nią na ziemi! Może Eleonora oczekuje mnie już w niebie!...

— Co też pan mówi, — przestraszyła się kobieta, — to niepodobno!

Nie zważając na przerwę, mówił dalej: — Wy płaczecie nieraz po niej, ale czy możecie rozumieć, co się w mojem sercu dzieje? Niema chwili, w której bym nie myślał o Eleonorze, przez ośm miesięcy błagałem codziennie Boga o szczęście ujrzenia jej i nazwania żoną swoją; gdy wreszcie przeszkody usunięte zostały z drogi, pędziłem dzień i noc bez odpoczynku do domu, nie posiadający się ze szczęścia, i zamiast wymarzonej rozkoszy znajduję pustkę i dowiaduję się, że moja ukochana Eleonora żyje uboga i nieszczęśliwa, może nawet bez kawałka chleba, a ja jej pomódz nie mogę!...

— Ach, panie, ja rozumiem boleść pana, lecz nie trzeba zaraz tracić odwagi, przecucie mówi mi, że nadejdzie niedługo dobra o paniencie naszej wiadomość. Bóg jest miłosierny, wysłucha nas, zobaczy pan.

— Oby nadzieje wasze się spełniły, dobra kobieta, ale zważcie, że to już minęło sześć miesięcy, jak po wszystkich miastach szukamy śladu po zaginionych i żadnej wiadomości, żadnego znaku życia dotąd. Bronię się jeszcze przed rozpaczą, lecz coraz więcej tracę nadzieję, aby ich odnaleźć można.

Gustaw powstał, chcąc się oddalić, lecz nagle zatrzymał się w miejscu zdziwiony, gdyż usłyszał na drodze tętent rozpędzonego konia.

— Słyszycie, matko, co to?

— To ktoś jedzie, — odpowiada najspokojniej pani Jans, nie pojmując zaniepokojenia swego pana.

— Biedny szaleńcze, — westchnął Gustaw, — cóż cię obchodzi obcy jeździec?

— Patrz pan, zmierza tu dotąd, — zawołała ucieszona i zdziwiona zarazem, — to z pewnością posłaniec z wiadomością o panience. Oby tylko z dobrą!

Jeździec wjechał rzeczywiście przez bramę, zatrzymał konia, a widząc zbliżającego się pana domu z kobietą, zsiadł i podał mu zapieczętowane pismo, mówiąc:

— Przyjeżdżam z polecenia pana notaryusza, który kazał mi jak najprędzej wręczyć panu to pismo.

Po tych słowach odprowadził spienionego konia do stajni.

Drżącymi rękoma rozłamał Gustaw pieczęć listu, podczas gdy kobieta z uśmiechem na ustach

i ciekawością w oczach śledziła zmianę na twarzy swego pana.

Z początku twarz pana Denekera zbladła, potem zarumieniła się, wreszcie z wyciągniętymi ku niebu ramionami, zawołał z głębi serca: — Dzięki Ci, Boże, wróciłeś mi ją.

— Panie, panie! — pyta kobieta, — czy są wiadomości o panience?

— Tak, tak, cieszcie się razem zemną! Eleonora żyje, wiem, gdzie mieszka i spieszę do niej czemprowadzę, — wyrzucił jednym tchem Gustaw, pijany szczęściem, biegnąc do mieszkania i każąc służbie pakować kufry i zaprzęgać natychmiast do powozu.

Sam pomagał poumieszczać w powozie co było potrzeba i w niespełna w godzinę potem pędził jak wichrem gnany na drodze do Antwerpii, pozostawiając za sobą chmury szarej kurzawy.

XI.

Udajmy się teraz w wyobraźni do francuskiego miasta Nancy i odszukajmy tamże pana Vlierbecke i córkę jego.

Dostawszy się tam dotąd, trzeba minąć wiele wązkich uliczek, aby zatrzymać się przed małym składem szewca.

Trzeba jeszcze przejść skład, jedne i drugie schody, i wreszcie staniemy przed małymi drzwiami wiodącymi do pokoiku szlachcica.

Wewnątrz izdebki tej ubogo, lecz czysto i przyjemnie. Zasłony przy łózkach śnieżnej białości, podłoga, zwyczajem flamandzkim, piaskiem posypana, piec z kolorowych kafli.

Na oknie w słońcu stoją doniczki z kwitnącemi stokrotkami i fjołkami, obok klatka z ptakiem.

Cicho, jakby makiem zasiał, w małej izdebce, żaden odgłos nie przerywa ciszy.

Przy otwartem oknie siedzi Eleonora, pilnie zajęta szyciem bielizny.

Ubiór młodej pracownicy nadzwyczaj ubogi, lecz gustowny, wszystko na niej czyste i miłe dla oka.

Biedna Eleonoro, takież więc twój los! Szukać w obcym kraju musisz schronienia przed wzgardą i szyderstwem, szlachecki swój ród ukrywać na nizkiem poddaszu, pracować i walczyć z nędzą, chylić słabe swe barki pod ciężarem troski i cierpienia.

— Ale, dzięki Bogu, krew bohaterów, która płynie w żyłach twoich, dodaje ci siły i odporności wobec przeciwności losu. Twoja dusza piękniejszą się jeszcze stała w cierpieniu, pobladła ci twarzyczka w dusznej izdebce, szlachetna twa skroń stała się bielszą, róż lic delikatniejszy, z tem wszystkim jeszcze więcej stałaś się jednak uroczą i pociągającą. Piękne, czarne oko błyszczyc jak dawniej ogniem i życiem, około miłych usteczek zabłąka się też jeszcze nieraz wesoly uśmiech.

Może masz w sercu twojem jeszcze bogaty zasób odwagi i nadziei, może w duszy pieścisz

drogie wspomnienia, które dodają ci siły do walki z przeciwnościami losu? Przypatrzcież się, nasza pracowita Eleonora opuściła ręce na kolana i marzyć zaczyna! Głowę przechyliła na poręcz krzesła i osłupiałym wzrokiem zapatrzyła się przed siebie, dusza jej uleciała w dal, hen, do starego dworu wśród odwiecznych drzew parku ukrytego.

Siedziała tak długą chwilę, wreszcie ocknęła się z zamyślenia, zerwała kwiatek stokrotki, automatycznie obrywała delikatne białe jego płateczki, potem spojrziała w okno, a oczy jej zatrzymały się na wysokim kasztanie, który wyniosłą swą koroną sterczał ponad dachami domów. Widok ten czułą poruszyć musiał strunę w jej sercu, gdyż oczy jej napełniły się łzami i oddychała całą piersią, jakby wciągać w siebie chciała tchnienie wiosny i ciepło słoneczne. Usta jej poruszają się cichem szeptem, snąc rozmawia duchem, z kimś, kimś bardzo ukochanym a oddalonym.

Rozrzewniona spogląda teraz na zamkniętego w klatce ptaka, który skacze niecierpliwie, jakby powyłamywać chciał drążki swego więzienia. Odzywa się do niego, jak do istoty, któraby zrozumieć ją mogła:

— Dla czegoż chciałbyś nas opuścić, ty ptaszku kochany? Ty, jedyny towarzyszu nasz! Ciesz się teraz razem zemną, bo ojczuszek wyzdrowiał, będziemy znowu weseli i zadowoleni. Czy ci ciasno w twej klatce?... Prawda, smutne

jest życie w niewoli, gdy na świecie wolność i świeże powietrze, gdy się urodziło w polu lub w lesie, i gdy się wie, że tam tylko szczęśliwym być można, gdzie ojczyzna. Och, biedny ptaszku, ja także jestem jak ty miłośniczką przyrody i wolności, wyrwaną z ojczyzny, ja także tęsknię do drzew tych zielonych, które szumem swym kołysały mnie nieraz do snu. Czy i tobie wydarto też przyjaciela jak mnie? Czy przed oczyma twemi stoi obraz tego, którego kochasz? Czy tęsknisz jeszcze za czemś innym, jak za wydartą ci wolnością? Nadeszła wiosna, a więc czas miłosnych uniesień! Miłość i dla ciebie jest najpiękniejszą zagadką życia!... Kupiłam cię w lepszych czasach, długo byłeś mi jedynym przyjacielem, jedyną radością moją!...

Rozumiem cierpienie twoje i nie chcę być dla ciebie tem, czem los mój stał się dla mnie. Odleć z Bogiem, używaj w całej pełni tego, co każdej żyjącej istocie jest najdroższem, t. j. wolności i miłości. Bądź zdrow, bądź zdrow, szczęśliwce.

Otworzyła drzwiczki klatki i długo patrzała za ptakiem, którzy wyrwawszy się z swego ciasnego więzienia, szybkim lotem dążył w dal. Powróciła następnie do swej pracy i zajęła się nią znowu ze zdwojonym zapałem.

Tak siedziała mniejwięcej kwadrans, aż nie usłyszała kroków za drzwiami; podniosła się, szepnąwszy:

— To ojciec, z jakimi też powraca wiadomościami! — zbliżyła się do drzwi.

Pan Vlierbecke wszedł do pokoju ze zwojem papierów w ręce i padł na najbliższej stojące krzesło zupełnie z sił opadły i wyczerpany.

Wychudł w ostatnim czasie ogromnie, oczy zapadły w głąb czaszki, spojrzenie stało się niespokojne, policzki pobladły, w ogóle robił wrażenie człowieka moralnie i fizycznie zmęczonego.

Ubiór jego był nadzwyczaj ubogi, chciano widocznie, o ile się dało, pokryć ubóstwo, lecz nie można było ukryć, że ubranie to było już bardzo znoszone i wytarte i za obszerne obecnie na jego wychudzoną postać. Z pewnością choroba i nędza złamały siły żywotne tego zdrowego dotąd organizmu, może odbiegła odwaga go do utarczek z przeciwnościami, może i serce ma złamane.

Eleonora patrzyła przestraszona na jego wyczerpanie i odezwała się:

— O Boże! Ojczy, czyś ty znowu chory?

— Nie, Eleonoro, zdrow jestem, ale nie mam ochoty do życia!

Dziewczę objęło go miłośnie ramionami i pieściło czule twarz jego zmizernowaną.

— Ojczy, ojczy, jeszcze przed tygodniem byłeś chory i oboje modliliśmy o twoje zdrowie jak o największe dobro na świecie. Bóg wysłuchał nas, wyzdrowiałeś, powinniśmy więc być szczęśliwi, a ty upadasz na duchu przy najpierwszej przeciwności, która nas spotyka. Czy

nie powiodło ci się dzisiaj? Widzę to z twych oczu, odwaga, to też przecież bogactwo. Precz ze smutkiem, ojcze, spojrzij na mnie, czy widzisz, żebym się martwiła i smutnym oddawała się myślom? — Prawda, i ja płakałam i ubolewałam nad chorobą twoją; ojczuszkę lecz teraz, gdyś już zdrowy, niech będzie co Bóg da, nie przestanę nigdy dziękować Bogu za Jego nieskończoną dobroć.

Ojciec patrzył na mówiącą córkę ze smętnym uśmiechem i westchnął:

— Biedne, nieszczęśliwe dziecko, udajesz odwagę, aby mi jej dodać, niech ci to Bóg wynagrodzi, Wiem, że tak jest, mimo to słowa twe, uśmiech, ty, aniele mój, z nieba na pociechę mi przysłany, tak silnie na mnie działają, jak gdyby cząstka twej duszy udzielała się mojej. Wróciłem teraz do domu z rozdartem sercem, bez nadziei, zrozpaczony, a tyś mi dodała nowej otuchy i odwagi.

— Opowiedz mi teraz ojczulku, jak ci się powiodło, a ją ci też opowiem coś, co cię z pewnością ucieszy.

— Więc posłuchaj, dziecko, byłem u pana Romeraux, chcąc w jego szkole udzielać nadal lekcji angielskiego języka, które to dla choroby przerwać musiałem, ale powierzono je już rodowitemu Anglikowi; przez to ubył mi więc najlepszy dochód.

— A lekcji niemieckiego u panny Pauliny?

— Panna Paulina wyjechała na zawsze do Strasburga. Straciłem więc wszystko od razu. Czy teraz jeszcze powiesz mi, że martwię się niepotrzebnie? Ty zbladłaś, a więc i ciebie przestraszyły te wiadomości.

Rzeczywiście dziewczyna sposępniała i spuściła oczy. Siłą woli jednak zapanowała nad sobą, i udając wesołość, odpowiedziała:

— Myślałam właśnie o przykrości, jakiej z tego powodu doznałeś, ale ja rzeczywiście mam dobre dla ciebie wieści.

— Co takiego, zaciekawiasz mnie?

Dziewczę wskazało na krzeselko i mówiło dalej:

— Widzisz to płótno, ojczuszkę? Mam do uszycia tuzin eleganckich koszul, a po wykończeniu ich, dostanę długie tyle do roboty. Będzie ładny dochód, ale wiem jeszcze coś lepszego, lecz to dopiero nadzieja tylko.

Eleonora tak wesoło i swobodnie mówiła, że nawet ojciec twarz rozpogodzić musiał.

— Więc powiedz, cóż cię tak uszczęśliwia? — zapytał.

Aby dogonić czas stracony na rozmowie, pobiegła Eleonora znowu do swej roboty i szyjąc mówiła dalej.

— Anibyś nie zgadł, ojcze, kto mi oddał tę pracę! Ta bogata pani, która mieszka w tym wielkim domu na narożniku; kazała mi przyjść do siebie, więc poszłam, gdy ciebie nie było w domu. Dziwi cię to, nieprawda?

— Rzeczywiście, Eleonoro! Czy to pani Royan, dla której haftowałaś ten piękny kołnierzyk? Skąd ona ciebie zna?

— Nie wiem; prawdopodobnie kobieta, która zamówiła u mnie tę mozołną pracę, powiedziała tej pani, kto ją wykonał. Musiała jej też mówić o naszym ubóstwie i o twojej chorobie, gdyż pani ta wie więcej o nas, jakbyśmy przypuszczać mogli.

— Na Boga, ale chyba nie wie?..

— Nie, nie zna ani naszego prawdziwego nazwiska, ani też wie skąd pochodzimy.

— Mów dalej, Eleonoro, ciekawy jestem bardzo.

— Więc powiem ci w krótkości. Pani Royan przyjęła mnie bardzo łaskawie, chwaliła mój piękny haft, pytała o nasze położenie i dodawała otuchy na przyszłość. Słuchaj tylko, co mi powiedziała jeszcze. Idź, dziecko, pracuj spokojnie dalcj, pozostań nadal cnotliwą, a ja się tobą opiekować będę. Ja sama mam wielkie zapotrzebowanie, więc dla mnie będziesz miała już pracy przynajmniej na dwa miesiące, oprócz tego polecę cię moim znajomym i postaram się, abyś pracę miała ciągle i mogła zapracować na ojca i siebie. Możesz sobie wystawić, ojczu, jak jej z całego serca wdzięczną byłam i jak serdecznie jej rękę ucałowałam, wzruszona jej delikatną, szlachetną dobroczynnością, która nie jałmużnę, lecz pracę mi dała. Gdy spostrzegła, jak ucieszoną byłam, pogładziła mnie po głowie i dodała jeszcze dobro-

tlawiej: bądź tylko odważną, Eleonoro, a zobaczysz, że niedługo będziesz musiała przyjąć pomocnicę i zostaniesz samodzielna! — Tak mi powiedziała, ojczu, spamiętałam to sobie dobrze.

Eleonora poskoczyła wesoło do ojca, uściśkała go i spytała:

— I cóż powiesz na to, ojczu? Czy to nie miła niespodzianka? Kto wie, czy tak się nie stanie jeszcze? Mogłabym mieć uczennicę, ja byłabym nauczycielką robótek, właścicielką sklepu, trzymałabym służącą!... Ty prowadziłbyś książki i załatwiał zakupy materiałów, — ja zaś zajęta byłabym w składzie i dozorowałabym szwaczki. O Boże, jak to pięknie być musi zawdzięczać wszystko pracy rąk własnych! Ty będziesz mógł jeszcze żyć w dobrobycie na stare lata, ojczu.

Widocznym było, że słowa Eleonory wywarły pożądany skutek, gdyż uśmiech zadowolenia ukazał się na twarzy pana Vlierbecke. Pogroził żartobliwie córce i odpowiedział:

— Eleonoro, Eleonoro, ty najmilsza moja czarodziejko! Tak łatwo umiesz mnie oczarować, jak dziecko słucham słów twoich i wierzę w twe obietnice. Ale pomówmy teraz o tem, co jest obecnie, a nie o tem, co być kiedyś może... Szewc żądał powtórnie zapłaty za mieszkanie. Winni mu jesteśmy jeszcze dwadzieścia franków, nieprawda?

— Tak, dwadzieścia i dwanaście franków mamy długu u kupca kolonialnego, to wszystko.

Gdy skończę koszule, wpłacimy mu jakąś część i będzie zadowolony, w składzie zaś poczekają jeszcze. Za ostatnią robotę dostałem półtrzecia franka, widzisz więc ojcze, że jesteśmy jeszcze bogaci, w niespełna cztery tygodnie będziemy już bez długu. Tyś wyzdrowiał, wracasz do sił... Nadejdzie lat, oto zobaczysz, jak nam będzie dobrze.

Pan Vlierbecke rozweselił się zupełnie, w ciemnych jego oczach zabłysła odwaga. Podszedł do stołu i otwierając zwój papieru, rzekł do córki:

— Mam także małą pracę, profesor Delsaux dał mi kilka arkuszy nut do przepisania dla jego uczni, za to dostanę za kilka dni cztery franki. Bądź teraz cicho, moje dziecko, inaczej, mógłbym się pomylić i popsuć papier.

— Ale czy mogę śpiewać, ojcze?

— Śpiewać możesz, to mi nie będzie przeszkadzało.

Ojciec począł pisać, podczas gdy Eleonora, wesola, jak ptaszek, wyśpiewywała wszystkie piosenki, jakie znała, chcąc tym sposobem ulżyć sercu.

Przytem szyla gorliwie, od czasu do czasu tylko rzucając na twarz ojca badawcze spojrzenie.

Po niejakiś czasie, słysząc bicie zegaru na wieży kościelnej, położyła robotę, wzięła w rękę koszyczek i poszła ku drzwiom.

Pan Vlierbecke zdziwiony, podniósł głowę.

— Czy już tak późno, Eleonoro?

— Już blisko dwunasta, ojcze.

Zwrócił się znowu do swej pracy, a dziewczę szybko zbiegło ze schodów.

Wnet powróciła z koszyczkiem, pełnym ziemniaków, w papierze niosła jeszcze coś innego, co przed ojcem starannie ukryć się starała. Nalała wody do garnka, postawiła obok siebie i nuciła półgłosem, zaczęła strugać kartofle. Następnie rozpałała ogień i postawiła garnek z kartoflami na blasze. Oprócz tego ustawiła tam jeszcze drugi garnuszek z octem i odrobiną masła.

Pan Vlierbecke nie zwracał dotąd uwagi na czynność swej córki, gdyż był do niej przyzwyczajony, gdy jednakże rozszedł się po izdebce łechcący podniebienie zapach przyprawianego mięsa, spojrzął zdumiony na córkę, mówiąc:

— Cóż to, mięso w dzień powszedni, Eleonoro? Zastanów się dziecko, wiesz przecież, że musimy żyć oszczędnie.

— Nie kłopot się o to, ojcze, — odpowiedziała Eleonora, doktor tak nakazał.

— Przyznaj mi się, że to nieprawda.

— Prawda ojcze; doktor mówił mi, że powinieneś przynajmniej trzy razy tygodniowo jadać mięso. To cię wzmocni, ojczulku!

— Ale długi nasze, Eleonoro?

— Ach, ojcze, to już mój kłopot, urządź wszystko tak, że każdy będzie zadowolony. Bądź spokojny, ja odpowiadam za wszystko. Zdejmij teraz, proszę papiery, abym stół nakryć mogła.

Ojciec wstrząsnął tylko głową i spełnił życzenie córki, Ona też rozpostarła bielutki obrus i postawiła dwa talerze z kartoflami i kawałek mięsa.

Była ubogą ta uczta, lecz tak wdzięcznie i czysto podaną, że bogacz nawet byłby ją spożył z apetytem. Ojciec i córka pochylili głowy, dziękując Bogu za skromne dary i zasiedli do obiadu.

Tymczasem za drzwiami słychać było kroki czyjeś i gwar głosów.

Eleonora z przerażeniem w oczach i wyciągniętą głową słuchała czegoś, czego pojąć nie mogła, a co nieopisaną przejmowało ją trwogą.

Ojciec, nie pojmując wzruszenia córki, patrzył na nią zdumiony, jakby pytać chciał, co to znaczy, co się dzieje?

Eleonora nie tłumacząc się, dała mu znak, aby milczał.

Wyraźniej już teraz zabrzmiał głos za drzwiami; jednym skokiem rzuciła się do nich, zamknęła na zasówkę, i osobą swoją starała się jeszcze bronić wstępu.

— Eleonoro, cóż ci się stało, na Boga, czego się obawiasz, — zawołał przestraszony ojciec.

— Gustaw tam jest, ojczu, Gustaw, — wołała. Precz ze wszystkim ze stołu; niech on przynajmniej nie zobaczy naszego ubóstwa!

Oblicze ojca spochmurniało na te słowa córki, podniósł głowę dumnym ruchem, a wzrok jego stał się naraz ostry i błyszczący. Nie mówiąc

słowa podszedł do córki i odprowadził ją ode drzwi. Eleonora uciekła w kąć izdebki i spuściła głowę ze wstydu i upokorzenia.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju więcej wbiegł jak wszedł młodzieniec i z otwartymi do uścisku ramionami rzucił się ku Eleonorze. Powstrzymał go jednak surowy wzrok pana Vlierbecke i wyciągnięte jego ramię.

Stanął więc, obejrzał się po pokoju i teraz dopiero podpadła mu uboga zastawa stołu. Zabolął go snąć widok ten, gdyż zakrył na chwilę dłonią oczy, wnet jednak zwrócił je na Eleonorę.

— Eleonoro, najdroższa moja, spojrzij na mnie, niech z ócz twych wyczytam, czy drogim ci pozostałem dotąd.

Eleonora obrzuciła go długiem, serdecznem spojrzeniem, w którym, jak w zwierciadle, odbiła się czysta jej kochająca dusza.

— O, jakżem szczęśliwy, widzę, że kochasz mnie jeszcze, Eleonoro. Bogu niech będą dzięki! Żadna moc ludzka nie zdoła mi już wydrzeć teraz narzeczonej. Pójdź, Eleonoro, w objęcia moje!

Otworzył ramiona, aby przytulić tak gorąco ukochaną do serca swego stęsknionego, lecz pan Vlierbecke stanął pomiędzy niemi i ujął młodzieńca za rękę.

— Wstrzymaj się pan, panie Deneker; cieszymy się z widzenia pana, lecz prosimy także nie zapominać, kim obecnie jesteśmy. Proszę uszanować ubóstwo nasze.

— Co pan mówisz? — zawołał młodzieniec kim jesteście? Pan jesteś moim przyjacielem, ojcem moim, a Eleonora przyszłą żoną moją!... Na cóż ten wzrok surowy?... W głowie mi się męszal!

Pochwycił rękę Eleonory i stanąwszy z nią przed panem Vlierbecke, mówił pospiesznie:

— Słuchaj pan!... Wuj mój umarł, uczyniwszy mnie testamentem uniwersalnym spadkobiercą i na łożu śmiertelnem nakazawszy mi poślubić Eleonorę. Niebo i ziemię poruszyłem, aby odnaleźć ją. Wreszcie znalazłem i przychodzę otrzymać od was nagrodę; serce swe, życie, bogactwa składam u nóg Eleonory, a ciebie, ojczy, błagam o błogosławieństwo. Ojczy, nie odmawiaj mi tej łaski! Jedźcie ze mną!... Zastaniecie w domu wszystko po dawnemu. Portrety przodków waszych zdobią znowu ściany, wszystko, co drogiem wam było, znajdziecie na dawnym miejscu. Pójdźcie, otoczę was szacunkiem i miłością, radością i szczęściem. Eleonora świętością mi będzie!...

Wyraz twarzy szlachcica pozostał poważny, oczy tylko nabrały łagodniejszego wyrazu.

— Boże mój — wołał jeszcze Gustaw — nic i nikt mi cię już nie wydrze, ukochana, gdyż Bóg mi cię darował.

Rzucił się do nóg ojca i załamując błagalnie ręce, wołał:

— Ojczy, zmiłuj się!... Niepodobna przecież, żebyś chciał mi zadać cios śmiertelny...

Ojczy, na miłość Boską cię zaklinam, pobłogosław nam.

Pan Vlierbecke zdawał się zapominać o obecności młodzieńca, oczy, łez pełne, wznosił do nieba i szeptał:

— Małgorzato, Małgorzato moja, ciesz się w niebie szczęściem naszym. Ślub mój spełniony, dziecko nasze będzie szczęśliwym na ziemi!

Gdy oboje młodzi patrzyli sobie w oczy z bezgraniczną miłością i ufnością, pan Vlierbecke przyciągnął młodzieńca do siebie, ucałował go w czoło i rzekł uroczyście:

— Gustawie, synu mój, niech Bóg błogosławi miłość twoją! Uczyni córkę moją szczęśliwą! Oto twoja narzeczona!

— Gustawie, Gustawie, narzeczony mój — wykrzyknęła dziewczyna, tuląc się do ojca i Gustawa równocześnie.

Pierwszy pocałunek zamienili narzeczeni w objęcia ojca, podczas gdy on jednym ich objął uściskiem i łzami rozczulenia zrosił głowy uszczęśliwionych swych dzieci.

. ! . . .

Teraz, czytelniku miły, przyznać ci się muszę, iż umyślnie nie podałem ci nazwy majątności pana Vlierbecke i to dla ważnych powodów. Dla tego nikt nie zgadnie, w której stronie mieszka Gustaw z Eleonorą, jako żoną swą.

Co do mnie, to powiedzieć mogę, że często miałem sposobność rozmawiania z państwem.

Deneker i przechadzałem się po cieniście ogrodzie z dwójgiem ich miłutkich dzieci oraz z panem Vlierbecke.

Czaroway obraz ich szczęścia rodzinnego, spokoju i szczerzej miłości wyrzył mi się głęboko w pamięci; jeszcze teraz widzę w wyobraźni starogo szlachcica na ławce w ogrodzie; mała Adelka wspina mu się na łono i miękkimi rączkami głaszczę go po twarzy, żywy zaś jak skra, Izydorek, harce wyprawia mu na kolanach. Pan Deneker z żoną stoją obok i z błogiem poczuciem prawdziwego szczęścia przyglądają się zabawionej gromadce.

Nie powiem ci także, kto mi to wszystko opowiedział, co napisałem tutaj w książce, dość na tem, że znam osobiście wszystkie osoby, które w opowiadaniu tem zachodziły i że nieraz zasiadałem przy stole z dzierżawcą Bas Janssem, żoną jego Elżbietą i służebną Katarzyną, którzy gadaliwi będąc, zwłaszcza o dobroczyńcach swoich, wiele opowiadać lubili.

KONIEC.



65066 / 1
7/14/17 / 1

Antonina Domańska.

Historya żółtej Cizemki.

Powieść z czasów
Kazimierza Jagiellończyka

z 11 ilustracyami.



Cena egzemplarza w oprawie 3,40 marek.



Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha

w Poznaniu.

Iry.

Powieści dla ludu.

Piotr i Jagna Bandurkowie.

Jak się pan Amandus Fifirkowski zaręczył.

Kasia.

Wspomnienia o mojej matce.

Marya Aniela.

Opowiadanie z krwawych dni
1831 roku.

Listy Marysi do Antka.

Cena egzemplarza bez oprawy 1,50 mk., w oprawie 2 mk.

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha

w Poznaniu.

TEATR LUDOWY.

Nowy zbiorek łatwych sztuczek teatralnych
dla Towarzystw polskich.

Dotychczas ukazały się następujące tomiki:

1. **Rokiczana.** Obraz dramatyczny ze śpiewami i tańcami w trzech aktach (13 mężczyzn, 6 kobiet). Cena 80 fen. — 19 egz. (ról) za mk. 10,—.
2. **Zmartwychwstanie czyli nieboszczyk z urojenia.** Komedya w dwóch odstępach (10 mężczyzn). Cena 75 fen. — 10 egz. za mk. 5,—.
3. **Czarny i biały murzyn.** Komedya w dwóch aktach (7 mężczyzn). Cena 75 fen. 7 egz. za mk. 3.
4. **Chrześcijanki.** Obrazek sceniczny dla ludu w pięciu odstępach. **Wydanie drugie.** Cena 80 fen., 12 egz. 6,50.
5. **Napad bandytów,** czyli tym razem jeszcze mu uszło na sucho. Krotchwila w jednej odstępach (4 mężczyzn). Cena 60 fen. 4 egz. za mk. 1,75.
6. **Fatalna kiełbasa.** Krotchwila w jednej odstępach (5 mężczyzn). Cena 60 fen. 5 egz. za mk. 2,40.
7. **Brzytwa swatem.** Obrazek sceniczny w jednej odstępach (3 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 60 fen. 5 egz. za mk. 2,40.
8. **Prządka pod krzyżem.** Baśń ludowa w trzech obrazach (6 mężczyzn, 4 kobiety). Cena 80 fen. 10 egz. za mk. 5,50.
9. **Pogodzeni.** Komedya w jednej odstępach (2 mężczyzn, 2 kobiety), Cena 65 fen. 4 egz. za mk. 2.
10. **Kto im łązy powróci.** Obrazek sceniczny w dwóch aktach ze śpiewami (2 mężczyzn, 12 kobiet). Cena 1 mk. 14 egz. za mk. 10,50.
11. **Pan Chciwski czyli skąpy zawsze dwa razy traci.** Komedya w czterech aktach (4 mężczyzn, 5 kobiet). Cena 1,— mk. — 9 egz. za mk. 6,30.

12. **Sclavus saltans.** (Tańczący niewolnik.) Obrazek dramatyczny w jednej odsłonie z życia starożytnego Rzymu (1 mężczyzna, 14 kobiet). Cena 75 fen. — 13 egz. za mk. 6,50.
13. **Córki Syonu.** Obrazek sceniczny na czas Bożego Narodzenia w dwóch odsłonach. Wydanie drugie. (1 mężczyzna, 7 kobiet). Cena 30 fen. — 7 egz. za mk. 1,80.
14. **Po dwudziestu latach.** Sztuka ludowa w trzech aktach (5 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 85 fen. — 7 egz. za mk. 4,25.
15. **Rozjemca.** Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach z dziejów starożytnej Hellady (1 mężczyzna 6 kobiet). Cena 75 fen., — 7 egz. za mk. 3,50.
16. **Wenancusz.** Dramat religijny w pięciu aktach z czasów prześladowania chrześcijan za cesarza Decyusza (20 mężczyzn). Cena 1,60 mk. — 12 egz. za mk. 13,50.
17. **Tak jej widocznie było sądzone.** Komedya ze śpiewami w czterech aktach (4 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 1 mk. 6 egz. za mk. 4,20.
18. **Bez ten święty opłatek.** Sztuka ludowa w trzech odsłonach odznaczona na konkursie Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów polskich w Poznaniu (4 mężczyzn, 3 kobiety). Cena 1 mk. 7 egz. za mk. 5.
19. **Dymitr i Marya.** Dramat z dawnych czasów w sześciu obrazach. Podług dramatu J. Korzeniowskiego (7 mężczyzn, 3 kobiety). Cena 1,— mk. 8 egz. za mk. 5,60.
20. **Wesele wiejskie.** Sztuka ludowa na tle piosenek ludowych w czterech obrazach ze śpiewami i muzyką (3 mężczyzn, 3 kobiety i chóry). Cena 1,20 mk. — 10 egz. za mk. 8,60.
21. **Św. Wojciech.** Rzecz w 3 aktach. Stron 78. Cena mk. 1,20. — 13 egz. mk. 11,—.

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha

w Poznaniu.